

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie w biurze G. Ungra w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok X. **Kraków, 29 listopada 1913.** **Nr. 48.**

Dr. Leo prezydentem delegacyi.



Treść numeru: Napad bandycki w Oświęcimiu. — Jubileusz zakładu Pasteura. — Uroczystości królewskie w Bawaryi. — W głębi morza. — Kanalizacya miasta Lwowa. — Polityczna wizyta. — Pod patronatem Europy. — Niespodziewani goście. — Z Polonii za Oceanem. — Nagroda Nobla dla Hindusa. — Giełda zbożowa i towarowa we Lwowie i t. d.

Dr. Leo prezydentem delegacyi.

(Do illustracyi tytułowej).

Po roku... przedługiej próby cierpliwości dyplomacya austryacko-węgierska odniosła ten przynajmniej tryumf, że pokój poza granicami Bałkanu zo-padkami, dotknięty został katastrofą ekonomiczną, i zasoby długich lat pracy wojna zniszczyła. A klęski żywiołowe? Od niepamiętnych czasów najpotworniejsze rozmiary zniszczenia na kraj sprowadziły w tym roku nieszczęść i wulkan nędzy objął całą Galicyę.

dla naszego kraju i dla państwa, padł bowiem na kierownika reprezentacyi polskiej, zaszczytnie znanego obywatela niepospolitych zasług, dla Krakowa i kraju położonych, niestrudzonego pracownika i męża stanu, który w krótkim czasie w parlamencie zdobył sobie szacunek powszechny.





Uroczystości królewskie w Bawaryi:
Następca tronu ks. Ruprecht i inni książęta domu królewskiego przed katedrą po uroczystem nabożeństwie. Wnuczka burmistrza Monachium wręcza królowej przed Ratuszem bukiet.

stał utrzymany, pokój europejski, który pochłonął monarchii pół miliarda koron.

Dziś naprężenie ogólno-polityczne minęło — u bram Konstantynopola, miejsca historycznych wypadków, armaty zamilkły, na polach wojennych, ogniem i mieczem zniszczonych, tysiące mogił zakrwawioną ziemią usypano... Cmentarzysko straszne!

Lecz wojna w krytycznych chwilach szukała dalszych ofiar i tak największy kraj koronny monarchii habsburskiej, który zaledwo wkroczył na drogę rozwoju uprzemysłowienia, eksponowany najbardziej wy-

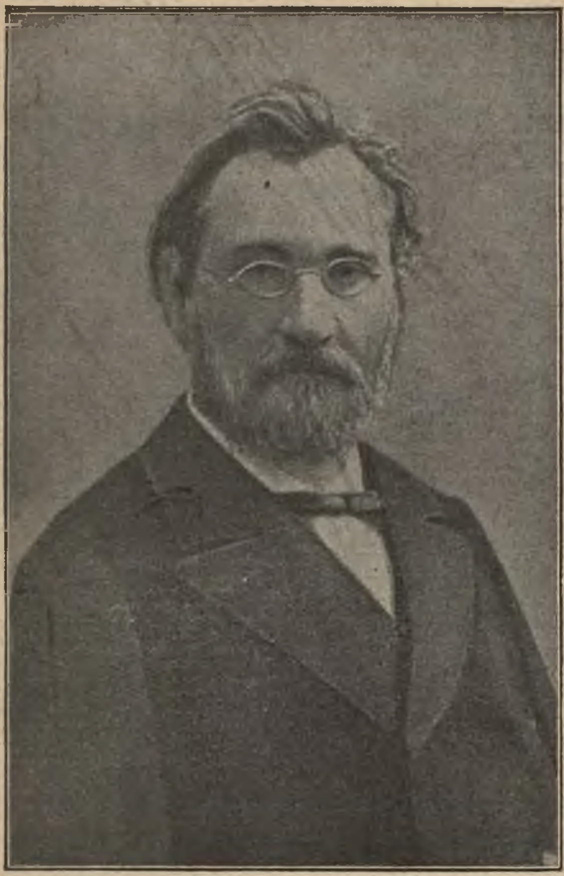
I w tej niezwykle smutnej dla kraju, a poważnej dla państwa sytuacyi zebrały się w dniu 18 listopada delegacye austryacka i węgierska w Wiedniu, w chwili, gdy i stosunki polityczne wewnętrzne jak najsmutniejszy obraz w parlamencie ludowym przedstawiają.

Prezydentem delegacyi austryackiej, tej wysokiej korporacyi parlamentarnej Rady państwa dla wspólnych spraw monarchii austro-węgierskiej, jednogłośnie wybrany został dr. J. Leo, prezes Koła polskiego. Wybór ten ma doniosłe znaczenie polityczne

Przemówienie do cesarza, jakie podczas otwarcia delegacyi w Burgu wygłosił prezydent dr. Leo, wywołało w sferach politycznych bardzo silne wrażenie. Z powodu nowych ciężarów wojskowych dr. Leo podkreślił w swem przemówieniu obowiązki członków delegacyi wobec ludności, wyniszczonej przesileniem wojennem i kryzysem ekonomicznym, a ten zwrot przyjęto ogólnie z wielkiem uznaniem. Jedynie szowinistyczna prasa niemiecka jest niezadowolona, iż prezydent delegacyi pominął wymownem milczeniem „najwierniejszego sojusznika Austryi“ —



Dr. Leo prezydentem delegacyi: Polscy członkowie delegacyi austryackiej: Siedzą (od lewej): dr. Ptaś, ks. Londzin, dr. J. Leo, prezydent delegacyi, dr. L. hr. Piniński, dr. Czaykowski, hr. Rey. Stoją: dr. Biały i dr. Ignacy Rosner.



Jubileusz zakładu Pasteura: Prof. Miecznikow.



Jubileusz zakładu Pasteura: Zastrzykiwanie surowicy.

Prusy, ale to niezadowolenie znalazło bardzo sympatyczny oddźwięk w całem społeczeństwie polskiem.

Oprócz prezydenta dra Leo wybrani zostali delegatami ks. Londzin, dr. Ptaś, hr. Rey, ekscellencya hr. Piniński, dr. Biały, dr. Czaykowski, radca dworu dr. Rosner i ekscellencya Jędrzejowicz (ten ostatni w Burgu nie był z powodu ciężkiej choroby brata).

Najważniejszy referat wojskowy — ogrom pracy delegacyjnej — oddano wytrawnemu parlamentarzyście radcy dworu drowi Ignacemu Rosnerowi.

Tytułowa nasza illustracya przedstawia moment przyjęcia delegacyi z prez. dr. Leo na czele przez cesarza w Burgu. Prócz tego zamieszczamy grupę polskich członków delegacyi.

Uroczystości królewskie w Bawaryi.

Stolica Bawaryi była przed kilku dniami widownią wspaniałych uroczystości. Nowy król bawarski wstąpił na tron, a całe Monachium zapełniło się tłumami, które uczestniczyły w tym akcie. Przebieg uroczystości był nadzwyczaj wspaniały.

W dniu koronacyi rano odbyły się nabożeństwa we wszystkich kościołach miasta, główne zaś nabożeństwo odprawione zostało w prastarej, wspaniałej katedrze monachijskiej. Wznosi się ona na przepięknym placu, a nowy król wyruszył na nabożeństwo z zamku w wspaniałym pochodzie. Wśród huku dział i przy dźwięku dzwonów całego miasta wyjechał król Ludwik z małżonką swoją królową Maryą Teresą z pałacu Wittelsbachów, w starożytnej karecie królewskiej, zaprzężonej w osiem koni. Cała droga od pałacu do Katedry otoczona była honorowym szpalerem wojska, za którem stały tłumy ludności, witające gorącymi okrzykami nowego władcę.

U wejścia do świątyni powitało parę królewską duchowieństwo. Po nabożeństwie odbyła się druga uroczystość na ratuszu miejskim. U wejścia do gmachu ratuszowego oczekiwał przybycia króla burmistrz miasta dr. von Borscht w otoczeniu rady miejskiej, przedstawicieli miejskich instytucyi oraz licznego grona burmistrzów miast bawarskich. Pojazd królewski zajechał przed ratusz przy dźwiękach starożytnej fanfary, trąbionej z balkonu gmachu.

Burmistrz powitał króla dłuższą przemową, poczem wnuczka jego w otoczeniu grupy biało ubranych dziewcząteк wręczyła królowej wspaniały bukiet.

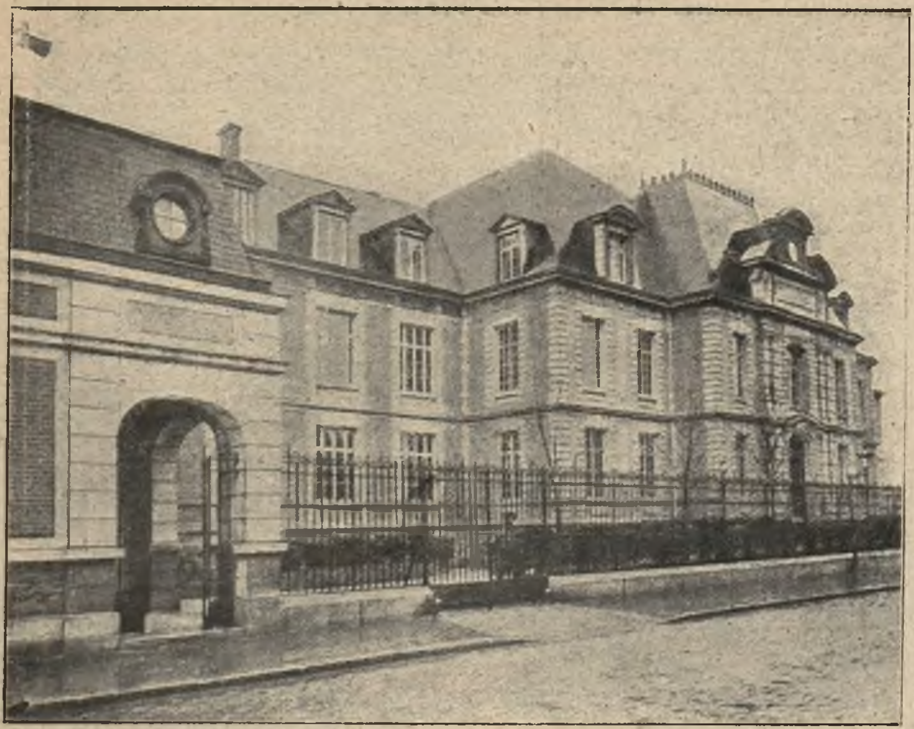
Po południu w zamku królewskim w wielkiej sali tronowej przyjął nowy król bawarski hołd całego kraju. W wspaniałej sali zgromadzili się przedstawiciele władz, cała rada gabinetowa, posłowie obu izb, naczelnicy wojskowości oraz kopus dyplomatyczny. Para królewska weszła do sali według uroczystego ceremoniału, poprzedzona dygnitarzami niosącymi insygnia koronne. Kiedy królestwo zajęli miejsca na tronie, wystąpił prezydent Izby deputowanych, hr. Fugger von Glött, i złożył nowemu królowi hołd imieniem kraju. Król za oświadczenie



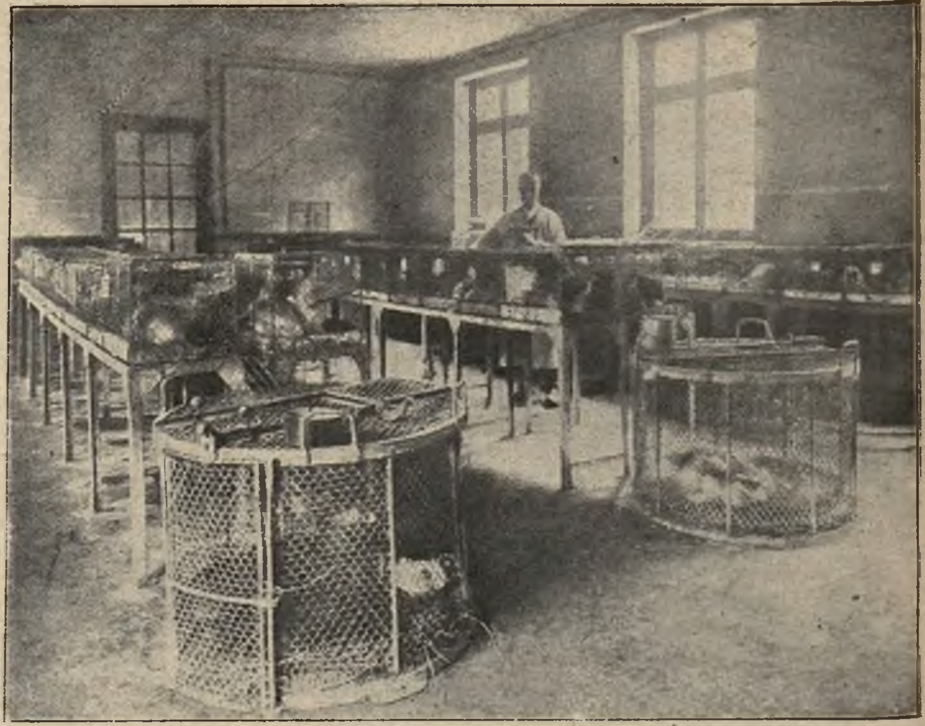
Uroczystości królewskie w Bawaryi: Hołd przedstawicieli kraju w wielkiej sali tronowej. 1) król Ludwik III. 2) Królowa Marya Teresa. 3) Następca tronu ks. Ruprecht.



Jubileusz zakładu Pasteura: Prezydent republiki francuskiej Poincaré zwiedza instytut w towarzystwie dyrektora Roux'a (X).



Widok zewnętrzny instytutu Pasteura w Paryżu.



Jubileusz zakładu Pasteura: Rozmaite rodzaje zwierząt, służących do doświadczeń.

wiernopoddańcze podziękował wzruszony. Zakończeniem uroczystości był wielki bal dworski, który odbył się w zamku. Miasto zaś całe wyraziło swój hołd przez wspaniałą illuminacyę.

Nowy król bawarski już jako regent położył dla kraju niemałe zasługi. To też głównie dla tego przeprowadzona została obecna zmiana na tronie bawarskim. Wśród książąt Rzeszy niemieckiej, król Ludwik cieszy się wielkiem poważaniem.

Jubileusz zakładu Pasteura.

Dwadzieścia pięć lat minęło w tym miesiącu od chwili, kiedy w r. 1888 w Paryżu otwarto instytut Pasteura, zbudowany ze składek społeczeństwa francuskiego. Zakład ten zawdzięcza swe istnienie pierwszym zdobyczom, jakie na polu leczenia wścieklizny poczynił sławny lekarz i chemik Pasteur. Już w r. 1885 zdołał on wyleczyć pierwszego pacyenta, pasterza Jupille, który został pokąsany przez psa wściekłego. Lekarze odesłali chorego do Paryża do prof. Pasteura, który wtedy był profesorem chemii w Ecole Normale. Fakt pokąsania zaszedł 14 października, a już 26 października zawiadomił Pasteur Akademię Umiejętności, że Jupille został wyleczony.

Ogłoszono składki na budowę zakładu dla leczenia chorych na wściekliznę i w krótkim czasie zakład stanął, a zasilany zapisami i darowiznami, rozwinął się w olbrzymią instytucyę.

Obecnie budynki zakładu zajmują powierzchnię 30.000 m². Zakład posiada poza pracowniami naukowymi własny szpital na 100 łóżek. Ruch naukowy w zakładzie jest bardzo wielki. Na wykłady uczęszczało przeszło 2000 słuchaczy ze wszystkich stron świata. Oddział dla wścieklizny miał pod opieką lekarską 33.000 chorych, z czego umarło zaledwie 129 osób.

Twórca instytutu Pasteur stał na czele zakładu do śmierci, t. j. do końca r. 1895. Spadek naukowy po nim objął prof. Duclaux, który pracował do r. 1905. Po śmierci prof. Duclauxa kierownictwo zakładu spoczęło w rękach obecnego dyrektora prof. Rouxa i sławnego bakteryologa prof. Miecznikowa.

Zakład Paustera wychował szereg badaczy zasłużonych dla nauki. Wśród jego pracowników były takie powagi naukowe, jak Ehrlich, Jersin, Marmorek i wielu innych. Z zakładu tego wyszły badania, które dały światu surowicę przeciw płonicy, przeciw dżumie i przeciw streptokokom.

Uroczystość ćwierćwiekowego istnienia zakładu obchodzono bardzo uroczyście w obecności prezydenta Francyi Poincarégo. Mowę jubileuszową wygłosił dyr. Roux, a na grobie Pasteura złożono wieniec palmowy.

W głębi morza.

Przepaściste tonie wód morskich, mało dostępne dla oka ludzkiego, kryją w sobie niezmierne skarby fauny i flory morskiej. W zielonkawem półświetle, przenikającem po przez ruchomą masę wód do dalekich głębin, przesuwają się różne potwory podmorskie, żyją kraby i ryby, których wizerunki spotykamy często tylko w muzeach, rosną krzewy i porosty, zupełnie obce temu, co my florą zwać zwykliśmy.

Głębie morskie kryją w sobie tajemnicę innego zupełnie, obcego nam życia. To też ludzie wysilają swoją pomysłowość w tym kierunku, aby dotrzeć do wnętrza mas wodnych, wydrzeć im ich tajemnice i zobaczyć. co i jak żyje tam, pod spokojną powierzchnią mórz.

Usiłowano badać dno morskie i zawartość głębi mórz przy pomocy nurków i dzwonów nurkowych.



Jubileusz zakładu Pasteura: Dwie pensyonaryuszki instytutu.

Badania te, dosyć niebezpieczne, pozwoliły jednak jedynie poznać części oceanów płytsze. Do największych głębin morskich nie dotarto.

Jak wszędzie w życiu, tak i tu wdał się w naukową tę sprawę interes. Znaleźli się pomysłowi ludzie, którzy postanowili wykorzystać ciekawość współbliźnich i zbudowali statki specyalne, przy pomocy których bodaj w płytszych miejscach można oglądać wnętrze wód morskich.

Statki te, w formie dużych łodzi, mają w środku urządzone okienka spektralne. przez które przy pomocy szkieł odpowiednio skonstruowanych widzi się wnętrze morza, przesuwające się pod statkiem.



W głębi morza: Statek z urządzeniem do oglądania wnętrza wód morskich.

J. POWALSKI.

SZTANDARY KSIĘCIA JÓZEFA.

2

Szczudłowatymi krokami pędził do baraku. Wieczerzę jadali we trzech, z kolegami, obok których mieszkał. Zdążał przez stratowaną ziemię, rozbitą dowozami drogą. Już w zmierzchu migotały pomarańczowem światłem drobne szybki w oknach baraku. Dopadł sionki. Mocnem tupaniem i szuraniem starał się oczyścić nieco buty na progu. Wtem potknął się o kogoś w ciemności.

— Co u licha! — wykrzyknął mimowoli. — Kto tam?

— Ady ja, — odrzekł mu ktoś z uszanowaniem się odsuwając.

Głos był znajomy. Młodzieniec poskoczył i otworzywszy na oścież drzwi do izby w mdłem świetle świecy chciał dojrzeć, kto był.

— Błażej! — krzyknął. — Skąd? Z domu? Ze Strzelców? Sam?

Chłop ogromny, z gęstą czupryną równo obciętą w grzywkę nad czołem, stał przed nim, z batem w ręku.

— Nie samem, proszę panicza, ino z panem jegomością. Ino przez te złe drogi takeśmy się zapóźnili, bo wyjechać, tośmy wyjechali rano.

— Gdzie pan?

— Stoją jegomość z bryką wedle pierwszych tych budów na drodze, a mnie posłali szukać panicza, żeby też nas panicz jako przeprowadził, żebyśmy po tych wyboiskach nadarmo wasągu nie tłukli.

Już porucznik nie słuchał, już wybiegł żywo z sieni. Błażej podążył za nim, potykając się raz za razem na nieznanych sobie wybojach i dziurach.

W ciemności dojrzał młodzieniec czarną masę bryki i koni. Doskoczył, chwytając rękami za brzeg. Na siedzeniu pochyliła się ku niemu ciemna postać ojca.

— To ty?

— Ja, tatusiu.

Ojciec zmacał mu głowę, uścisnął. Syn całował jego ręce w milczeniu.

Błażej poprawiał uprząż na koniach.

— No, — rzekł ojciec nagle, głosem w którym starannie nie dopuścił ani śladu wzruszenia. — Musisz nas Ignasiu przenocować. Idźno naprzód i prowadź, którędy tam na twoją kwaterę.

— Nie będzie tatusiowi dobrze, bo bardzo szczupła izdebka — odpowiedział syn, posłusznie idąc ku przodowi i biorąc za lejce przy pysku konia, który zaczął się boczyć i chrapać.

— Idźno, idź — przynaglał ojciec. — Niech cię już o to głowa nie boli.

Ruszyli zrazu w milczeniu. Koła skrzypiały, bryczka przeważała się po dziurach.

— Bo ci, co stoją we wsi, to mają kwatery lepsze, — zauważył jeszcze porucznik zatroskany.

— A ty gdzie?

— Ja w baraku. Ale gdyby tatuś pozwolił, to poproszę jednego z towarzyszy...

— A cóżeś się uwział! — żachnął się ojciec. — Weźno powoli, bo ja mam kości nie z żelaza, a droga wasza, widzę, jak las po karczunku.

— Podsypujemy często, ale że to cegłę i rozmaite ciężkie objekta dowożą, więc ciągle się psuje, — usprawiedliwiał się syn.

— Cóż, — spytał ojciec po chwili, — pójdziesz mnie zameldować swemu dowódcy?

— Taka jest instrukcya, — odrzekł syn.

Ojciec lekceważąco machnął ręką. Nie był z amatorów służbistości wojskowej, że tak być musi, uznawał, jednakże traktował ten stan rzeczy z ironią.

Stanęli przed kwaterą porucznika. Młodzieniec poskoczył pomódz ojcu wysiąść. Ale ten odprawił go niecierpliwie:

— Konie ulokuj, ja tu sobie z Grzesiem dam radę.

Wyrostek zeskoczywszy z kozła, już znosił walizy i tłomoki z pościelą do sionki. Porucznik siadł na bryczkę i ruszył.

Gdy wrócił, załatwiwszy formalności, zastał stancyę przybraną w domowe, swojskie oblicze. Dobrze znana, stara burka ojca rzucona na ławę, znane poduszki skórzane, znany gruby wojłok rozesłany na przygotowanej pościeli. Tłomoki ze startej użyciem skóry zapchnięte w kąt, a na stole, na papierach i książkach rozesłany biały obrusek i rozłożone podróżne wiktuały. Wśród tego paliła się jedna, skąpa świeca. Ojciec coś dobywał jeszcze z walizy.

— No, cóż tam? — powitał go ojciec. — Jużeś na dziś skończył te wasze parady?

— Jeszcze muszę iść do raportu, proszę tatusia.

Objąwszy jednem spojrzeniem domowe graty, porucznik zwrócił żywo wzrok na ojca. Właśnie ten przyszedłszy, usiadł przy stole i twarz miał w świetle. Syn został, jak był, z pół wymówionem w ustach słowem, w żałosnem zdumieniu. Twarz ojca była tak nagle postarzona i tak dziwnie obca w niezna- nem mu jeszcze białem obramieniu włosów, naczesanych na czoło i wijących się w pukle za uszami. Wydawała się obojętna, i ta obojętność przeszywała wskróś serce, jak sztylet. Nowe, głębokie zmarszczki znaczyły obwisłość chudych policzków i zmęczenie głębokich, ciemnych oczu.

Stary pan siedział w postaci swobodnej i z fantazyą, widać z przyzwyczajenia nie byle gdzie spędzonej młodości. Nosił się na poły z francuska, ale wedle mody jeszcze z czasów ostatniej rewolucyi narodowej, 94 go roku. Miał wązką twarz z wyrazistem czołem i nosem, wygolone, cienkie, zaciśnięte wargi, podbródek zanurzony w białe zwoje chustki, związanej w biały fontaź na szyi. Nie zwracając uwagi na zmieszanie syna, zaprosił go łagodnie:

Siadajże. Nie lada masz fatygę cały dzień?

Młodzieniec usiadł naprzeciw. Zawiadomił ojca, że żołnierz wnet przyniesie codzienną kolacyę. Na żądanie zaczął spożywać domowe wiktuały i opowiedział o stanie robót i o wizycie księcia Józefa. Ale miał przetrącona swobodę i zwykłą raźność i nic mu nie szło. Wkończu zapytał nieśmiało o dom, o matkę, o rodzeństwo, trwożliwie ale pilnie zważając na twarz i odpowiedź ojca. Stary pan skrzywił się. poruszył ręką, westchnął.

— Et! — rzekł, — co tam gadać. Bieda jak wszędzie, żale jak wszędzie, marność jak zawsze. Odwieczne koleje.

— A mama zdrowa, proszę tatusia?

— Zdrowa.

— Antosia?

— I Antosia.

— A bracia, proszę tatusia?

— Zdaje się, silną mają wokacyę do żołnierskiej parady, bo ustawiczne widzę musztry, i gonitwy. Strzelanina także całodzienna. — Ot, duch czasu.

Syn zastanowił się, jakiego jeszcze szukać pytania. Coś zaszło, ale jak się tego dowiedzieć? Lękał się być natarczywym. Umilkł.

Ojciec odezwał się:

— Jakże u was, mówią o wojnie?

— Mówią, ale to nic nie wiadomo, proszę tatusia. My tylko tego czekamy. Teraz już ta tylko jedna może być wojna, która nam ojczyznę powróci.

— Hm, — rzekł ojciec. — Cóż będzie, gdy powróciwszy z tej wojny, ojczyznę coprawda znajdziecie wolną, jednakże w niej ani jednego żywego wieśniaka, czy mieszczanina, czy szlachcica? Jeśli dalej tak pójdzie, jak teraz się zanosi, to wielkie jest podobieństwo, że my tu z głodu wymrzemy, gdy wy nas wyswobadzać pójdziecie.

— To choć umrzemy wolni, — odparł syn gorąco. — Ale może lepiej się to obróci i będziemy żyć wolnymi.

— Tak, — rzekł ojciec zwolna, uśmiechając się, — rzymska cnota. Szczęśliwa młodość wasza, której danem jest, jak ćmom w ogień, lecieć w swoje słońce. Nam przypada natomiast grzebanie w błocie i dumanie, skąd wziąć ten grosz, ten najmarniejszy? Czy od chłopa, spuchłego z głodu, czy z ziemi, której niema czem zaorać, czy choćby za ziemię, której już nikt kupić nie chce? A grosz ten bardzo potrzebny, bo to podatek, nie na chleb, nie na długi — tylko na podatek.

— Może będzie urodzaj, — odezwał się syn, z obowiązku powiedzenia cegoś lepszego.

— Może, — powiedział ojciec wątpliwie...

Porucznik pomyślał o raporcie. Ale nie śmiał o nim przypominać. Postanowił wyczekać, aż do ostatniej chwili, a potem przygotować raport piorunem.

— Słuchajno, — rzekł ojciec.

Syn po tonie zrozumiał natychmiast, że teraz dowie się, co zaszło. Jakoż ojciec, chwilę pomilczawszy, powiedział znowu:

— Nadzwyczajne jest obdłużenie wszystkich majątków, a gotówka znikła od nas zupełnie. Grosza znaleźć nie można, gdzie się dawniej tysiące przelewały. Otóż — wiesz, że po śmierci ojca twej matki, ja, wspólnie z jej bratem objąłem administracyę dóbr nieboszczyka na rzecz wierzycieli jego, myśląc tym sposobem co ze schedy uratować dla matki twojej. Jednakże, interesa tak szły z roku na rok, że mnie coraz głębiej pogrążały w odpowiedzialność. Nie mogę nastarczyć wierzycielom i dziada i swoim naraz. Część pretensyi muszę spłacić. Właśnie nie wiedział, co począć, gdy mi przyszła na myśl owa suma, którą mi winien pan Kajetan Żelechowski. On tam teraz w Warszawie służy w biurze, i podobno grubą pobiera płacę, w intendanturze zda mi się, lub może w dyrekcyi żywności pod rządem Wielhorskiego. Zwrócić mi tych kilka tysięcy będzie mu łatwo, a nam to wiele pomoże.

Suma owa była ważną dla porucznika rzeczą. Odsetki od niej ojciec wyznaczył mu jako zasiłek. Przy stałem zaleganiu żołdu, mały ten dochód był jedyną prawie substancyą dla porucznika.

— Byleby pan Żelechowski oddał, — pospieszył wyrazić swą gotowość obycia się bez tych pieniędzy.

— Pozbawi cię to procentu, — rzekł ojciec.

— Cóż to znaczy? — odpowiedział z uśmiechem. — Żołd, zdaje mi się, nawet regularniej wydzielają tym, o których wiedzą, że są bez środków.

Obaj nie nastawali dłużej na tę sprawę. Ojciec, chrząknąwszy, mówił dalej:

— Najgorszym wierzycielem jest niejaki Pejsio z Zegrza. Temu to liczę oddać ową sumę. Tak tedy, jego pozbywszy, stanę swobodniej przed resztą.

— Czy wielu ich jest? — zapytał syn z uszanowaniem.

— Legion, — odrzekł ojciec swobodnie. — Cóż robić. Nie myśmy to pożyczyli i nie my spłacimy. Może i wnuki z tem się nie uporają. Cóż myślisz, takie wojska wystawić, jak myśmy z naszej nędzy wystawili? Łatwo było Polskę zatracić, ale nieskończenie będzie kosztowało znów odzyskać.

Chwilę obaj milczeli.

— Właśnie jadę do Warszawy w tych sprawach, — odezwał się ojciec. — Jutro do świtu wyjadę stąd. Zboczyłem tu do ciebie, bom rad był cię ujrzeć — no i o tych procentach cię uprzedzić. Trudniej ci będzie, ale to już dla nas nie nowina, w naszych czasach.

— O! — rzekł porucznik rzeźwo.

— Gdyby ci jednak kiedy zbrakło — no, to pisz. Poczta do nas wcale akuratnie dochodzi. Tylko od Tadeusza tośmy już dawno nic nie mieli.

Był to syn najstarszy, służący w pułku dziewiątym piechoty, bijącym się w Hiszpanii.

— I ja nic o nim nie słyszałem, — rzekł syn.

— Trudno, — rzekł ojciec, — niby to człowiek zdecydowany na najgorsze, a przecież myśli o najlepszem. Listu jednak chciałbym się doczekać, bo to i dla matki... Dziwnie myśli plącze czekanie.

— Raport! — wspomniał nagle porucznik. — Tatusiu, proszę wybaczyć, muszę raport przygotować, — rzekł szybko.

— Czemużeś zaraz nie powiedział?

Porucznik zabrał się co żywo do roboty. Gdy wrócił z raportu, już ojciec leżał. Położył się także. Gdy ułożył się na twardem i wązkiem posłaniu, przygotowanem na ławie, zaczął rozmyślać w ciemności izby nad sprawami ojca. I nagle przyszło mu na myśl, że jednakże nie wie jeszcze, skąd ta siwizna niespodziana, w parę miesięcy, i skąd tyle zmarszczek na twarzy. I wśród tego usnął ciężko.

III.

Zmęczone konie brnęły w błocie bokiem szosy, idąc krok za krokiem. Bryka toczyła się wolno, a stary pan Kleszewski wśród waliz i tłumoków skórzanych, okryty burką pocentkowaną bryzgami błota, patrzył na zatartą we mgle, siną, daleką Warszawę, i rozpoznawał drobniuchne jeszcze igliczki jej wież.

Srodkiem drogi ciągnął nieskończony tabor wozów z dostawą zboża dla wojska do Modlina. Wydeptanemi po bokach szosy ścieżkami wędrowali w tę samą stronę nędznie odziani chłopi.

Błażej nie wytrzymał i w przejściu zaczepił któregoś: dowiedział się, że idą do Modlina na zarobek. Po chwili, odwracając się, uwiadomił o tem pana. Ten jednak skinął obojętnie ręką, pogrążony w swych dumaniach.

Wobec tego Błażej udzielił w cichości swoich uwag Grzesiowi: widać głód w ich okolicy musi być srogi, skoro idą z tak daleka na robotę.

Wyprzedzali tymczasem gęste, obdarte, żydowskie bryki, zaprzężone w szkapy zamęczone, ledwie ruszające nogami i nędzne fury chłopskie, ciągnięte nierzadko przez jednego wołu. Wkończu minął ich ogon taboru, idącego do Modlina, i Błażej, cmoknąwszy, ściągnął lejce, wyjechał na środek szosy i ruszył prędzej. Zatrajkotała bryka, poczęło znów bryzgać błoto.

W siwej mgle brzydkiego dnia jesiennego domostwa Pragi, a za nią mury Warszawy na wysokim brzegu wstawały coraz wyraźniej. Zaczął mżyć dokuczliwy, zimny deszczyk. Pan Kleszewski otulił się machinalnie burką. Był tak zajęty swemi myślami, złączonemi z widokiem stolicy, że nie zwracał uwagi

ani na coraz gorsze trzęsienie i podskakiwanie bryki na praskich wybojach, ani na przenikliwy deszczyk i zimno. Minęli długi most na Wiśle stępą, w nieskończonej procesyi innych wozów.

Na rogatce warszawskiej zatrzymali ich urzędnicy cłowi dla rewizyi. Błażeja oburzyło to do żywego, i miał nadzieję, że jego pan odpowiednio zgromi takie zuchwalstwo. Ale pan Kleszewski spokojnie przyjął natarczywe pytania strażników komory, uśmiechając się z ich służbistej gorliwości. Przybycie do Warszawy napełniało mu piersi jakby tchem jego dalekiej młodości, z czasów sejmu czteroletniego i ostatnich lat królestwa. Rzeźwiej patrzył, rzeźwiej myślał. A jednocześnie serce mu wzbierało roztkliwieniem starości, pełnem pobłażania dla kochanego miasta.

Skoro strażnicy uznali swe obowiązki za spełnione, Błażej, groźnie pomrukując, ruszył znowu naprzód pod górę.

Wjechali na Zjazd, napchany wszelkiego rodzaju furgonami, wozami, brykami, pojazdami, splecionymi i mijającymi się wśród wymyślań woźniców. Na prawo stał wyniośle Zamek królewski. Na lewo roiło się nieprawdopodobne mnóstwo ludzi i wozów z powodu targu pod Bernardynami.

Błażej zręcznie, stanowczo i zuchwale parł się pod górę, niezmieszany gwarem, ruchem i wymyślaniami.

Pan Kleszewski, błyszczącem w ledwie znacznym uśmiechu okiem, patrzył po znanych sobie niegdyś kamienicach, wysokich, ściśniętych, o wązkich frontach i sklepach na dole.

Tymczasem skręcili w lewo na Krakowskie Przedmieście i ruszyli zrazu szybciej, z powodu mniejszego ścisku.

Obłocona bryka i zmokłe, okryte ciemnemi plamami potu i błota konie, krzyżowały się ustawicznie z eleganckp błyszczącemi dorożkami, niedawno wprowadzonemi do stolicy. Błażej, onieśmielony hukaniem dorożkarzy i ich jazdą na złamanie karku, wstrzymał po chwili konie i jechał ostrożnie stępa. Pan Kleszewski wskazał mu drogę: zamyślał stanąć w kami nicy znanej sobie na Nowym Swiecie, gdzie była dobra stajnia i szopa na bryczkę.

Dojechali, i pokoje okazały się wolne, choć z powodu bliskiego przyjazdu króla saskiego na sejm, gospodarz wyraził przekonanie, że napewno wynająłby je jutro, jeśli nie za godzinę, i powinszował panu Kleszewskiemu jego niezwykłej szansy.

Stary pan zawarł już swe wzruszenie, jak ostryga muszlę, i przyjmował życie ze zwykłą sobie ironiczną pogodą. Pospieszył umyć się i przebrać, i z pomocą Grzesia rozlokować się w dwu kwadratowych, niewielkich stancyach, na antresolu, o nizkim suficie, z których jedna służyła za sypialnię, druga za salonik.

Następnie, wziąwszy stary, ale odświętny, nie noszony prawie nigdy płaszcz, ruszył na miasto.

Natychmiast obskoczyła go natarczywa gromada faktorów w brudnych chałatach. Zapowiedziawszy im, że są mu niepotrzebni, nie zwracał na nich już uwagi, i szedł dalej. Miał bowiem odrazę do krzyczenia na ludzi. To go doprowadzało do trzymania administratora przy gospodarstwie, i sprawiało, że wszystko go kosztowało drożej, niż innych. Całe życie pobłażał tej drażliwości swego charakteru, aż te czasy nędzy i upadku zmusiły go do odprawienia administratora i do dotknięcia się samemu rzeczy, które go napełniały niechęcią. Robił to jednak i teraz, ze starego przyzwyczajenia, jak przez rękawiczki.

Szedł więc, gubiąc po drodze zawiedzionych faktorów. Jeden jednakże dotrzymywał mu wiernie kroku. Był to stary żyd o siwej brodzie, w równie brudnym, starym i zaszarganym u dołu chałacie, jak inni.

— Pocóż za mną idziesz, kiedym ci powiedział, żeś mi niepotrzebny? — zapytał go wreszcie, odwracając się pan Kleszewski, którego przykro drażniła bezowocna i milcząca natarczywość faktora.

— Ja już jestem stary, — odpowiedział żyd, przyspieszając kroku, — ja nie mam tej siły kłócić się z drugimi żydkami o panów. Ja sobie z waszmością panem pójdę, może będzie co potrzeba? Ny, nie będzie, to nic. Ja sobie poczekam.

— Nic nie zarobisz.

— Człowiek sam nie wi, co mu się może trafić. Może co będzie trzeba? Ja sobie wolę pójść z mądrym panem, choć i nic nie zarobię czasem, niśli biegać dla głupiego, co na końcu skrzywdzi i nie zapłaci.

— No, to idź, ale ja ci nic nie obiecuję.

— Ja wiem.

Pan Kleszewski kierował się ku Staremu Miastu. Mieszkał tam bowiem daleki jego krewniak, Dyonizy Żakowicz, literat, poeta i bywalec jakich mało, znający na wylot stosunki stolicy.

Pan Kleszewski zastał go spożywającego śniadanie. Porwał się na widok gościa z ogromnego fotela, tak jak był, w żółtej szlafmicy z fontaziem i w szlafroku szafirowej barwy.

— Panie Józefie dobrodzieju, cóż to za siurpryza! Skąd się waćpan bierzesz? Cóż na wsi? Jakże zdrowie dobrodziki? Na długoś waćpan przyjechał? Siadajże, siadaj i mów!

— Niceś się waćpan nie postarzał, — rzekł gość. — Widzę, że zęby czasu nie dadzą waćpanu rady.



Na siedzeniu pochyliła się ku niemu ciemna postać ojca.

— A tak, tak, — zgodził się skromnie poeta. Była to jego nadzieja i pewność ulubiona, którą w swem sercu pieścił. Teraz nadzwyczaj mile go pokrzepiło porównanie z rówieśnikiem tak osiwiałym.

— Wszyscy mi to mówią, czy uwierzysz waćpan? — pochwalił się z satysfakcyą, która odkrywała, jak wiele zatrzymał dziecinnej łatwości cieszenia się. — Walenty, śniadanie! — krzyknął na chłopca. — Nie widziszże gościa, hultaju?

Pan Kleszewski oglądał go z uśmiechem. Dorozumiewał się przyjemności, którą sprawił swym widokiem poecie. Powiedział z lekką ironią:

— Ba, panie dobrodzieju, nie wszystkim dano jednakowo przejść przez ten padół płaczu. Jedni zabrną głęboko w tę dolinę, a drudzy prześlizną się po wierzchu.

— Muzy strzegą swoich, — odrzekł gospodarz z zadowolonym uśmiechem. — A zresztą, kochany dobrodzieju, to życie stołeczne, te dyskusye, te nowiny, ta ustawiczna gorączka, w której żyjemy, te śmiałe ideje — wszystko to... A jeszcze fawory naszych dam, konwersacye salonów — człowiek musi, mówię ci, musuje jak szampańskie wino. Ot co, rzuć waćpan swoje dobra i przybywaj tu na mieszkanie. Odmłodniejesz, odżyjesz. He, he, panie Józefie, a pamiętasz te dawne awanturki — co? Krew nie woda, panie dobrodzieju! Powiadam ci, sprowadźcie się tutaj. Bo to i obowiązki obywatelskie, i patryotyczne...

— Różnie się składa, — rzekł stary pan pobłażliwie.

— *Video meliora proboque, deterioraque sequor* — co? — zawołał poeta. — Ja zawsze za tem idę, co za lepsze uznam.

— Powiedzno mi waćpan, — spytał gość, — czy nie widujesz tu pana Kajetana Żelechowskiego?

Ruchliwa, pełna, nieco czerwona twarz gospodarza, cała rozlana w rodosny uśmiech, nagle zmieniła się, zasępiła pracą myślową.

— Żelechowskiego? — powtórzył. — Czekajno, panie Józefie, coś to mi o nim mówiono. Ale gdzie?

— Służy on tu w którémś biurze, — rzekł pan Kleszewski.

— Wiem już! — krzyknął nagle gospodarz z tryumfem, — pan Kochanowski mi mówił na wieczorze u pani Aleksandrowej Potockiej, Tyszkiewiczówny z domu. Widzisz, widzisz, jaką ja mam pamięć.

— Cóż to było?

— Wyjechał do Płocka. Ma on niezłą posadę w dyrekcyi żywności u Wielhorskiego. Jest podinspektorem w biurze dyrektora naczelnego, z pensyą pięciu tysięcy złotych polskich rocznie.

— Wyjechał? — spytał z zawodem w głosie pan Kleszewski. — Na długo?

— Nie wiem, ale się dowiem, — odrzekł gospodarz z gotowością. — Chcesz go waćpan widzieć?

— Właśnie.

— Za kilka dni wróci, — rzekł poeta z przekonaniem, którego nagle nabrał, zapewne dla wygody gościa. — Walenty! — huknął, — dawaj mi frak, buty!

Przeprosiwszy gościa, poszedł się ubierać, aby zaraz wyjść z nim i zasięgnąć informacyi o powrocie Kajetana Żelechowskiego.

Po małej godzinie wyszli obaj na miasto. Deszczyk zupełnie ustał, ale dzień był chmurny, ospały.

— Pójdźmy do traktyerni, — zaproponował poeta. — Pora na obiad. Spotkamy tam kilku słusznych bardzo ludzi, patryotów.

Ponieważ pora była odpowiednia, pan Kleszewski nie widział nic stosowniejszego do zrobienia. Było przytem zimno i błoto. Spojrzał na starego żyda, który znów za nim ruszył.

— Wiesz co, panie Dyonizy, — rzekł, — nie znasz waćpan jakiego towarzysza pana Żelechowskiego? Mam tu faktora pod ręką, którego możnaby posłać z pytaniem.

Żyd, zmiarkowawszy, że o nim mowa, przysunął się.

— Wybornieś to waćpan obmyślił! — ucieszył się poeta. — Zaraz w traktyerni napiszę słówko i poczekamy na odpowiedź. O tem samem myślałem.

Zasiedli w długiej, sklepionej izbie, przy stole tuż pod oknem, a mimo to w mroku. Okno wychodziło na jakieś szare mury podwórzowe. Zastali już paru codziennych towarzyszów poety.

Po powitaniach, poeta zażądał papieru, piór i atramentu, i zasiadłszy na stronie, w głębokiem skupieniu zaczął kreślić swój list. Odrzuciwszy kilka napoczętych arkusików i kilka piór źle zatemperowanych, ukończył wreszcie swą pracę. Pan Kleszewski wyprawił z nią faktora, i natychmiast zasiedli do stołu.

Omówiwszy nowiny polityczne, które obracały się około wizyty księcia Józefa w Paryżu, słów Napoleona do ambasadora rosyjskiego, i ruchu wojsk rosyjskich nad granicą litewską, wszyscy zwrócili się do spraw miejscowych.

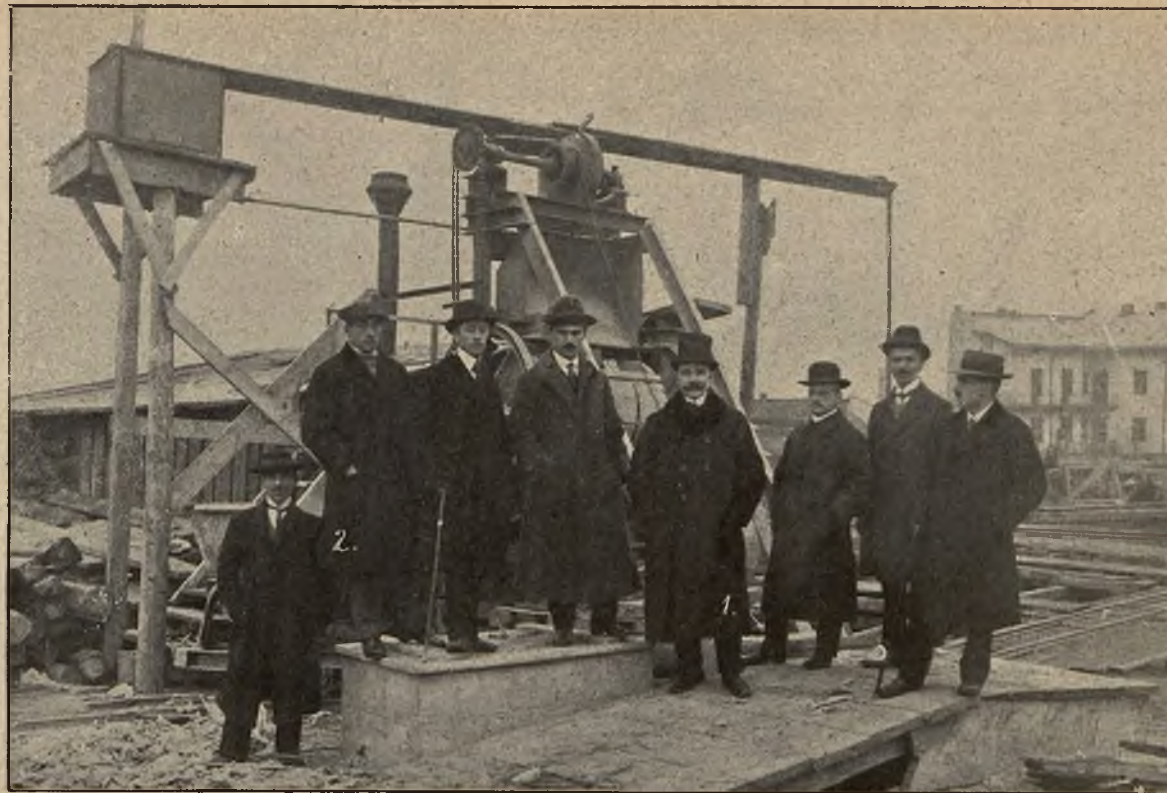
(Ciąg dalszy nastąpi).

Kanalizacya miasta Lwowa.

Niedawno pisaliśmy o kanalizacyi miasta Lwowa, a mianowicie o budowie głównego kollektora, mającego doprowadzić wodę zużytą z całego miasta do oczyszczalni mechanicznej. Roboty te są prawie na ukończeniu, a obecnie prowadzi się forsownie zasklepienie Pełtwi w miejscu odgałęzienia głównego kollektora, na granicy między Lwowem i Kleparowem.



Księgarnia nauczycielska we Lwowie: Wnętrze księgarni.



Kanalizacya miasta Lwowa: Kierownicy robót kanalizacyjnych. 1) starszy inżynier Wydziału krajowego Howarth, 2) prowadzący roboty inżynier Bryl.

Pełtew we Lwowie z biegiem czasu zasklepiono aż do pl. Misyonarskiego, około 200 m. niżej miejskiego teatru. Od pl. Misyonarskiego w dół płynie w zupełnie dzikim stanie, w otwartem korycie i zatruwa całe życie w niezwykle handlowej dzielnicy. Pozostało jeszcze do zasklepienia aż do granicy Kleparowa około 500 m. Zasklepienie tego cuchnącego bagna jest pierwszorzędnym postulatem asenizacyi m. Lwowa.

Roboty prowadzi się wśród niesłychanie ciężkich warunków terenowych. Kilkunastometrowe pokłady torfu zmuszają do fundowania sklepienia Pełtwi na pilotach żelazno-betonowych. Na te piloty przychodzi żelazno-betonowa ława, a później sklepienie z okładkami żelaznemi. O rozmiarach tego sklepienia dają wyobrażenie załączone fotografie. Roboty przeprowadza z funduszów kanałowych (60% rząd a 40% kraj) krajowe biuro melioracyjne Wydziału krajowego. Budowle te, któremi kieruje inżynier Bryl, przeprowadza się maszynowo, zupełnie nowożytnie, z jak największem uwzględnieniem postępu techniki. Naczelne kierownictwo robót kanalizacyjnych w całem mieście, jak również regulacyi Pełtwi, spoczywa w wytrawnych rękach st. inżyniera Wydziału krajowego, Dyonizego Howartha, radnego m. Lwowa.

Księgarnia nauczycielska we Lwowie.

Powstała we Lwowie instytucya, będąca pięknym i pocieszającym wyrazem samopomocy nauczycielskiej, oraz ważną dźwignią przemysłu krajowego. Nauczyciel galicyjski zamiast trwać w przysłowiowem zaniedbaniu i kłaść się w przedwczesną mogiłę, postanowił własnymi siłami pokonać przedewszystkiem chorobę zawodową: gruźlicę, przez wybudowanie sanatoryum dla piersiowo chorych nauczycieli z tej i tamtej strony kordonu, a równocześnie poprzeć walnie wytwórstwo krajowe przyborów i potrzeb szkolnych.

Z inicyatywy tedy krajowego „Ogniska“ nauczycielskiego, powstała we Lwowie „Księgarnia nauczycielska“, poprzednio własność Maniszewskiego, z oddziałem antykwarskim i przyborów szkolnych. Na czele nowej instytucyi stoją dyrektor i radny miasta



Kanalizacya miasta Lwowa: Roboty przy zasklepieniu Pełtwi pod Lwowem.



Polityczna wizyta: Arcyksiążę Franciszek Ferdynand opuszcza z małżonką statek w Dowrze.



Księgarnia nauczycielska we Lwowie: Profesor Mikołaj Budzanowski, sekretarz zarządu księgarni.

Stanisław Majerski, jako prezes, niezmordowany sekretarz Mikołaj Budzanowski, dyrektor i radny miasta Jan Soleski i inni, a kierownikiem księgarni jest Jan Maniszewski.

Dochód z księgarni przeznaczony jest wyłącznie na cele nauczycielskie, głównie na kolonie wakacyjne i sanatoryum, które wymaga jeszcze znacznego wkładu pieniężnego, aby odpowiedziało godnie swemu zadaniu. Energiczna agitacya, rozwinięta głównie przez p. Budzanowskiego, spopularyzowała instytucyę nauczycielską tak, iż stanęła ona odrazu na silnej i pewnej podstawie i cieszy się ogólną sympatyą społeczeństwa.

Niebawem wyjedzie do Warszawy delegacya „Ogniska“, aby podziękować Henrykowi Sienkiewiczowi za poparcie w osobnej odezwie celów nauczycielstwa, oraz dla nawiązania stosunków handlowych z Królestwem Polskiem.



Księgarnia nauczycielska we Lwowie: Dyrektor Stanisław Majerski, prezes zarządu księgarni.

Polityczna wizyta.

W świecie dyplomatycznym od kilku lat przyjął się nowy i ciekawy zwyczaj. Oto najważniejsze sprawy państwowe załatwiane są i rozstrzygane na przyjacielskich wizytach sąsiedzkich między władcami. Państwa, które chcą na zewnątrz zaznaczyć swe dobre stosunki, wysyłają sobie na wizytę swych królów lub ich synów. Równocześnie w świecie dostojnych gości zjeżdżają politycy lub ministrowie i przy wesołej zabawie polowania lub innej wycieczki towarzyskiej, załatwia się nieraz interesa pierwszorzędnego znaczenia politycznego.

Niedawno dla zamanifestowania przyjaźni Niemiec i Austryi przybył cesarz Wilhelm na polowanie do arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, a zarazem złożył wizytę cesarzowi austryackiemu.

Obecnie zaś chodzi o zaznaczenie wobec Europy, że w koncercie państw Austrya nie jest odosobniona i ma życzliwych przyjaciół nawet w... Anglii. Aby fakt ten stwierdzić, pojechał austryacki następca tronu na polowanie do Anglii, w odwiedziny do króla Jerzego.

Podróż ta jest zręcznym giestem w kierunku Francyi, która w czasie ostatnich przesileń politycznych stale zajmowała wrogie Austryi stanowisko. Ponieważ zaś między Francyą a Anglią istnieje stara rywalizacya polityczna, więc na złość Francyi Austrya nawiązuje dobre stosunki z Anglią.

Anglia austryackiego następcę tronu powitała



Polityczna wizyta: Zamek windsorski, prastara rezydencya królów angielskich, gdzie bawił austryacki następca tronu.

bardzo serdecznie. Wszystkie pisma umieściły obszerne artykuły, w których podniesiono, że między obu państwami istnieją dawne związki przyjaźni i że oba państwa mają wspólne interesy polityczne, które je mogą w koncercie państw europejskich zbliżyć ku sobie.

Parę arcyksiążęcą witano uroczyście w Dowrze, a następnie w Londynie, gdzie arcyksięstwo zamieszkali w ambasadzie austryackiej. Następnie przez trzy dni bawili jako goście króla w starym, historycznym pałacu windsorskim. Pałac ten od ośmiu wieków jest stałą rezydencyą królów angielskich. Położony jest o 30 klm. od Londynu nad górnym brzegiem Tamizy. Wyposażony wspaniale przez króla Jerzego, otoczony jest prześlicznym parkiem.

Arcyksiążę Franciszek Ferdynand bardzo mile przyjmowany był przez Anglików dlatego także, że jest wybitnym myśliwym i sportsmenem, a co specyalnie Anglicy bardzo cenić umieją.

Dzieci dla dzieci.

Praca oświatowa, prowadzona przez T. S. L. w Galicyi, obejmuje coraz szersze kręgi, szczepiąc poczucie narodowe nie tylko u dorosłych, ale i wśród dzieci. Obok Kół dorosłych, które obejmują wszystkie warstwy społeczeństwa, powstają w ostatnich latach coraz częściej Kółka dzieci T. S. L., które pracują między dziećmi. W Kołomyi istnieje już od dłuższego czasu Kółko Polek T. S. L., które w ostatnich czasach zawiązało Kółko dzieci im. Bełzy.

Kółko to rozwija się doskonale, a dowód żywotności swej dało przed niedawnym czasem, urządzając doskonale zorganizowany wieczorek ku czci Adama Mickiewicza. Wszystkie role objęły dzieci i bardzo udatnie odegrały sztuczkę „Sąd Europy“. Wśród wykonawców nie brakło także bardzo małych „milusińskich“. Wieczorek odbył się przy zapełnionej sali i zyskał pełne powodzenie.



Dzieci dla dzieci: Dzieci Koła im. Bełzy, uczestniczące w amatorskiem przedstawieniu w Kołomyi.

Pod patronatem Europy.

Kość niezgody dla całej Europy, a specyalnie dla państw bałkańskich — Albania — uzyskała już ostatecznie określenie swych granic, a niebawem uzyska i własnego księcia. Do koncertu państw bałkańskich przybędzie jeszcze jedno, którego przyszłość może być bardzo wielka. Szczepy albańskie sięgają daleko w głąb Serbii i Bułgaryi. Złączone ze sobą silną przyjaźnią rodową, związane wspólnością praw i zwyczajów, zawsze ciążyły ku temu, aby zjednoczyć się w jedno państwo.

Turcya dosyć miała z nimi kłopotu. Naród buntowniczy i skory do powstań raz wraz urządzał krwawe porachunki ze swymi ciemiężycielami. Sprawa albańska obijała się także często o uszy Europy. Zwłaszcza Austrya, która wykonywała patronat nad katolickimi szczepami albańskimi, była najwięcej w tej sprawie interesowana.

W obecnej chwili państwo albańskie stoi pod



Niespodziewani goście: Balon francuski po wylądowaniu pod Stanisławowem.



Pod patronatem Europy: Oficerowie oddziału międzynarodowych wojsk w Skutari.



Z życia prowincyi: Pożegnanie prezesa sądu radcy dworu A. Wileckiego w Kołomyi.

patronatem całej Europy. Wszystkie wielkie mocarstwa stanęły w obronie praw Albańczyków. Niestety, nie uczyniono tego bynajmniej z jakichś humanitarnych lub narodowych pobudek. Każde wielkie mocarstwo chciało mieć na Bałkanie kraik, gdzie mogłoby znaleźć oparcie dla swojej własnej zaborczej polityki. Za najodpowiedniejszą rzecz w danej sytuacyi uznano, aby Bułgaryi, Serbii i Grecyi dać strażnika w formie Albanii, któryby z jednej strony hamował wzajemne autagonizmy, z drugiej zaś jako kraj, stojący pod patronatem Europy, dawał wielkim mocarstwom prawo wmieszania się każdej chwili do spraw bałkańskich.



Dom Tow. Białego Orła w Porto Alegre.



Z Polonii za Oceanem:
Dom im. Kościuszki w Porto Alegre.



Dom imigracyjny w Porto Alegre.

Albania ma być tym łatwo palnym materyałem, który będzie Europie służył do wzniecania wedle woli i uznania pożarów na Bałkanie. Wobec bitności i zadzierzystości Albaczyków okazya zawsze się znajdzie.

Ponieważ Serbia, Grecya i Czarnogóra nie chciały dobrowolnie uznać i opróżnić wyznaczonych przez konferencyę londyńską granic Albanii, wielkie mocarstwa utrzymują w Skutari „detachement“ wojsk międzynarodowych, które stoi na straży interesów albańskich. Są tam oddziały austryackie, włoskie, francuskie, angielskie i niemieckie.

Dopóki sprawa Albanii nie zostanie ostatecznie uregulowana, oddziały te imieniem Europy bronić będą jej całości. One też sprowadzą na tron albański księcia Wieda, któremu Europa lada dzień ofiaruje koronę albańską.

Giełda zbożowa i towarowa we Lwowie.

Rozwój handlu i przemysłu, idący wraz z postępem nowoczesnej techniki handlowej, wytworzył instytucye, które w swych rękach koncentrują cały obródhandlowy. Są to giełdy. One stały się dzisiaj właściwym ośrodkiem, z którego płyną miliony z kieszeni jednych do drugich. Na tych giełdach załatwiają się wszelkie większe transakcye handlowe, tworzą się spółki i towarzystwa, które w swych rękach mają nieraz przedsiębiorstwa, obejmujące cały świat.

Giełdy stały się dzisiaj potęgą, od której zależą nieraz losy państw. Wszystkie papiery wartościowe i akcye przedsiębiorstw są na giełdach notowane i od tego, jak silny jest ich obrót giełdowy, zależą także ich ceny. Wszystkie większe przedsiębiorstwa lub operacye kredytowe krajów lub państw zależą dzisiaj od stanowiska giełd.

Obok transakcyi czysto pieniężnych ruch giełdowy obejmuje także wszelkiego rodzaju obród towarowy. Przed kilku dniami została otwarta taka giełda, zbożowa i towarowa, we Lwowie. Powstanie tej instytucyi dla Galicyi, jako kraju rolniczego i zaczynającego rozwijać swój przemysł, ma doniosłe znaczenie. Wobec rozwiniętego u nas wysoko przemysłu ropnego, który interesuje cały świat przemysłowy, wobec eksportu bydła oraz wobec tego, że Galicya stanowi poważną arteryę ruchu towarowego transito do Rosyi, powstanie u nas giełdy towarowej może niejednokrotnie dopomódz do rozwoju i ożywienia ruchu handlowego.

Pierwszy dzień otwarcia giełdy dał wprawdzie giełdzie wielu gości ze sfer przemysłowych i handlowych, obroty jednak były bardzo wstrzemięźliwe. Imieniem rady giełdowej powitał zebranych dyr. Wassérberger. Pierwszy interes zawarty na giełdzie lwowskiej dotyczył dostawy 25 wagonów ropy.

Z życia prowincyi.

Uczciwa i sumienna praca, prowadzona po obywatelsku, wyrabia szacunek u ludzi i poważanie. Zwłaszcza stanowisko sędziego jest jednym z takich posterunków, który wymaga wielkiego poczucia obywatelskiego. Sprawiedliwość ma oczy zawiązane, jak powiada podanie, to też wiele zależy od ludzi, którzy w jej imieniu władzę wykonują.

Jednego z takich sędziów-obywateli żegnało przed kilkunastu dniami miasto Kołomyja. Prezydent sądu tamtejszego, radca dworu Antoni Wilecki opuścił swój posterunek w Kołomyi, przenosząc się na równorzędne stanowisko do Przemyśla. Pożegnanie, urządzone przez współkolegów i obywateli, było bardzo serdeczne.

Imieniem sędziów żegnał go wiceprezydent Schneider, imieniem Prokuratoryi państwa pierwszy sekretarz Rasin, imieniem palestry adwokat dr. Dębicki, wreszcie imieniem urzędników kancelaryjnych starszy naczelnik kancel. Wojtowicz.

Wszyscy mowcy podnosili, że sąd w osobie p. Wileckiego traci wzorowego sędziego, dobrego i energicznego kierownika, a grono sędziowskie prawdziwego przyjaciela, i życzyli mu powodzenia na nowym posterunku. P. Wilecki przedstawiając przebieg swego 3 krotnego pobytu w Kołomyi, wyraził szczery żal, że musi ukochane przez się strony opuścić i podniósł, że czas pobytu w Kołomyi zawsze zaliczał do najszczęśliwszych chwil życia.



Giełda zbożowa i towarowa we Lwowie: Pierwsze zebranie przedstawicieli świata przemysłowego w dniu otwarcia giełdy. (Fot. M. Münz, Lwów).

N. S. Lincoln.

Trup w kasie.

Amerykański romans kryminalny.

7

Trevor oparł głowę na ręce i milczał chwilę. Wzdychał tylko, wreszcie rozpoczął słabym głosem:

— Naturalnie zupełnie wbrew mym obliczeniom, żona moja tego wieczoru została w domu, co mnie bardzo było nie na rękę. Kiedy w nocy wróciłem do domu, zachowywałem się jak najciszej i stosownie do umowy czekałem od godziny trzy na drugą przy drzwiach domu na panią Beriot. Kiedy nadjechała, wprowadziłem ją do biura i pobiegłem szybko do sypialni, aby przynieść pieniądze. Właśnie kiedy z góry wracałem, zadzwonił telefon. Pani Beriot zlękła się, że telefon może kogoś zbudzić i zdjęła szybko słuchawkę. Zamiast jednak po prostu położyć ją na stole, odpowiedziała na wołanie i wezwała mnie do telefonu, kiedy wszedłem. Rozmówiłem się z Bowersem i zamknąłem telefon. Potem wręczyłem pani Beriot pieniądze i wypuściłem ją z domu. Od tej chwili ani jej nie widziałem, ani o niej nie słyszałem — dodał wreszcie, opadając wyczerpany na krzesło.

Dik siedział przez długą chwilę w milczeniu. Wreszcie zebrał odwagę i zapytał:

— Czy bardzo by panu było przykro, gdybym panu postawił jeszcze kilka pytań?

— Proszę, pytaj pan?

— Czy pan uważa za rzecz możliwą, że w czasie, kiedy pani Beriot była tu w pokoju, ktoś mógł tu być ukryty?

— Nie, uważam to za wykluczone. Pani Beriot była bardzo nerwowa i ciągle rozglądała się po pokoju, obawiając się niespodzianki.

— Czy kasa była zamknięta, czy otwarta?

— Zewnętrzne drzwi były zamknięte, przypuszczam więc, że i wewnętrzne także.

— Dlaczego nie schował pan owych 10.000 dolarów w kasie?

— Zapomniałem kombinacyi cyfrowej.

Kiedy spostrzegł, że Dik patrzy na niego z niedowierzaniem, dodał szybko:

— Od samego początku posiadania tej kasy było mi bardzo trudno zapamiętać skomplikowane liczby, które kasę otwierały. Zapisałem sobie też całą kombinacyę w notatniku zaraz, jak tylko dom ten wynająłem. Zwykle jednak wołam Clarka, jeśli chcę dostać się do kasy. W owym dniu Clarka już nie było, a kiedy chciałem posłużyć się notatnikiem, nie znalazłem go na zwykłem miejscu.

— Ah! A gdzie go pan zwykle przechowywał?

Syndyk generalny położył rękę na ukośnej płycie swego olbrzymiego biurka.

— Mam tutaj tajną przegrodę. Aby ją otworzyć trzeba wyciągnąć całkiem szufladkę z lewej strony u góry. W ściance znajdującej się za szufladką jest okrągły otwór, przez który wkłada się palec, aby nacisnąć sprężynę.

— Ile osób, oprócz pana, wiedziało o tej skrytce? — zapytał Dik.

— Tylko moja żona i moja córka. Beatrycza kupiła to biurko na licytacyi i podarowała mi je właśnie, kiedy wprowadzaliśmy się do tego domu.

— Czy poszedł pan zaraz do siebie na górę, kiedy pani Beriot odeszła?

— Tak, zaraz. Na górze panowała zupełna cisza, a ja, skoro tylko głowę przytknąłem do poduszki, usnąłem twardo.

Kiedy Dik powstał, aby się pożegnać, Trevor oświadczył podniesionym głosem:

— Proszę, opowiedz pan panu sekretarzowi stanu wszystko. Wobec tego, że wiem, iż jestem podejrzany o dokonanie morderstwa, cofam podanie o dymisyę. Pozostanę na mojem stanowisku i podejmę walkę o mój honor. Powiedz mu pan jeszcze - głos jego dźwięczał jasno i przekonywająco — Bóg mi jest świadkiem, że nie wiem nic o morderstwie mej żony.

ROZDZIAŁ XII.

Nowe poszlaki.

— A pan, co sądzi o całej tej sprawie? — zapytał sekretarz stanu.

Obaj mężczyźni siedzieli na drugi dzień rano w gabinecie ministeryalnym, a Dik skończył właśnie opowiadanie o swej rozmowie z Trevorem.

— Ja wierzę w to, co mówił syndyk generalny — oświadczył stanowczym głosem Dik.

— I ja także, panie Tillinghast — przyświadczył mu sekretarz. — Trevor nie miał wyboru, musiał przekupić ową panią Beriot, jeśli nie chciał skompromitować nietylko siebie i swą żonę, ale także zupełnie niewinną córkę. A teraz powiedz mi pan jeszcze, panie Tillinghast, czy zna pan jeszcze jakieś szczegóły, odnośnie do Gordona, któreby nie były publicznie wiadome?

Dik zawahał się.

— Wprawdzie ja nie mam nic z takimi historyami morderczymi do czynienia — ciągnął żywo dalej sekretarz stanu — ale ten wypadek obchodzi bardzo prezydenta. Najpierw rzucono podejrzenie na jednego z jego adjutantów, a teraz zwraca się ono przeciw generalnemu syndykowi. Trzeba przecież koniecznie dążyć do tego, żeby ich, o ile są niewinni, oczyścić jak najprędzej z zarzutów. Gadaj pan więc odważnie, panie Tillinghast!

Dik uznał racyę powiedzenia sekretarza i opowiedział mu obszernie wszystko to, czego dowiedział się od generała Lony'ego.

O! — Bowers podniósł brwi do góry. — Sprawa staje się coraz bardziej tajemniczą. Czy pan sądzi, że Trevor wie coś o tym dawnym stosunku jego żony i Gordona?

— Nie miałem odwagi go o to pytać — przyznał Dik. — Syndyk i tak wyglądał na bardzo chorego i zmaltretowanego.

Sekretarz stanu przytaknął porozumiewawczo.

— Zaproszę go do siebie dzisiaj na śniadanie, aby mu wytłomaczyć, że bezwarunkowo w obecnej chwili nie może ustępować. Może uda mi się przy tej sposobności zręcznie wybadać go, co i ile wie on o poprzednich miłostkach swej żony.

Przez chwilę milczał, poczem dodał:

— Istnieją dwa punkty, które, mojem zdaniem, trzeba brać pod uwagę.

— A te byłyby? — zapytał Dik skwapliwie.

— Najpierw trzebaby sprawdzić, kto zabrał notes generalnego syndyka. A po drugie — cały świat stara się udowodnić, kto w ów wieczór wszedł do domu Trevorów. Nikomu jednak nie wpadło na myśl, dowiedzieć się, o której godzinie jeden z domowników dom ten opuścił.

— O kim pan myśli?

— Kiedy wyszedł z domu prywatny sekretarz Trevora i gdzie spędził wieczór?

— Za prawdę! O tym zupełnie nie pomyślałem!

— Niech pan postara się zbadać oba te punkty. Jestem przekonany, że praca się opłaci. A gdyby pan potrzebował mej pomocy, to każdej chwili może pan przyjść do mnie, panie Tillinnghast. Przy całej tej sprawie okazał pan tyle taktu i dyskrecyi, że bardzo chętnie pójdę panu na rękę.

Dik pożegnał się, dziękując serdecznie za pomoc i popędził do swego biura, gdzie zastał list od Peggy. Prosiła go, aby po południu przyszedł na herbatę i zdał sprawę z przebiegu dalszego śledztwa. Zaledwie zdążył przeczytać bilet, wezwał go służący redakcyjny do szefa redakcyi.

— Dzień dobry, Diku — powitał go pan Byrd. — Gibson zgłosił się jako chory i pan musi zastąpić go na Kapitolu. Niech pan dość wcześnie się uda, gdyż musimy mieć sprawozdanie ze wszystkich ważniejszych posiedzeń. Jak stoi sprawa Trevora?

— Bardzo jest możliwe, że w najbliższych dniach oczekiwać należy nowych ważnych odkryć. Czy będę mógł się zwolnić, w razie, gdyby sprawa wzięła nowy obród?

— Ma się rozumieć. Może pan wtedy wszystko rzucić, a tylko tem się zająć. Najważniejszem jest, abyśmy mogli zaraz podać każdy nowy wynik śledztwa.

Temi słowy pożegnał szef Dika i powrócił do swojej pracy.

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Pani Macallister, stosownie do starego zwyczaju waszyngtońskiego urządzała od listopada do czerwca przyjęcia zwykle w piątki. Po prostu zrozumieć nie mogła, jak można liczyć w ten sposób, który teraz wchodził w modę, aby przyjmować co drugi lub trzeci wtorek lub czwartek. Twierdziła, że w takich rachunkach nie można się wyznać i swoje wizyty robiła wtedy, kiedy na nie miała ochotę, nie stosując się do nowych przepisów.

Również nie mogła pogodzić się z nową modą, która pozwalała na podawanie popołudniowej herbaty w salonie. U niej starym obyczajem w każdy piątek nakrywano ogromny stół w jadalni i zastawiano go licznymi, apetycznymi specyałami. Peggy królowała zawsze na końcu stołu, nalewając herbatę, z drugiej zaś strony stołu któraś z jej przyjaciółek rozdawała czekoladę.

Goście zaczęli się już powoli rozchodzić, kiedy Dik się zjawił.

Zaledwie tylko jeszcze około tuzina gości, przeważnie sami panowie siedzieli przy długim stole. Dikowi serce drgnęło silnie, kiedy spostrzegł, że Morny asystuje pilnie Peggy, prowadząc z nią ożywioną rozmowę. Zazdrość podszepnęła mu, że ci oboje są już na bardzo poufałej stopie, co zrobiło go wprost nieszczęśliwym. Pani Macallister wezwała go skinieniem ręki, aby usiadł obok niej. Wziął więc swoją filiżankę herbaty i rzucając smętne spojrzenie na Peggy, usiadł obok pani domu.

— Czy wyszły na jaw jakie nowe poszlaki w sprawie morderstwa u Trevorów? — rzuciła pytanie pani Macallister. Przedtem jednak już z kwadrans rozmawiała z Dikiem o innych sprawach.

— Prawda, prawda, niechże nam pan coś o tem opowie! — zawołała wysoka pani, ubrana bardzo jaskrawo, która siedziała na przeciwnej stronie stołu.

Słysząc nazwisko Trevora, pochyliła się z ciekawością naprzód, przygotowując się do uważnego słuchania. Była to Matylda Gleason, jedna z czterech sióstr, zamieszkujących wspólnie wspaniały pałac przy ulicy Columbia. Nikt dokładnie nie wiedział, skąd one się na bruku Waszyngtonu wzięły. To też pani Macallister nigdy nawet przez myśl nie przeszła chęć złożenia im wizyty. Przypadek zrządził, że panna Gleason przez brak oryentacyi przewodniczącego została zaproszona do komitetu opieki nad szpitalem dziecinnym. W komitecie zasiadała także pani Macallister, a panna Gleason skorzystała natychmiast bardzo zręcznie ze sposobności, aby wkręcić się na piątkowe przyjęcia u starej damy.

— E! nie ma nic nowego! — zapewnił Dik ostrożnie. Znał bowiem obrotny języczek pytającej damy i wiedział, że cztery siostry Gleason mają wcale niepochlebne przydomki „nienawiść, zazdrość, złośliwość i brak serca“.

— Kiedyż właściwie odbędzie się rozprawa sądowa w sprawie Trevorów? — zawołała Peggy z drugiego końca stołu.

— O ile mogę przypuszczać, prawdopodobnie za dziesięć dni.

— Mam nadzieję, że sprawiedliwość postąpi wobec owego Gordona z całą surowością — zauważyła panna Gleason. Dziwnie brzmiały te słowa w jej ustach, bo przecież cały Waszyngton wiedział o tem, że przez szereg tygodni kochała się na zabój w Gordonie, niestety! bez wzajemności.

— Wcale jeszcze nie zostało stwierdzone, że on właśnie jest zbrodniarzem — powiedziała pani Macallister bardzo chłodno.

— Przecież prawie że się sam do tego przyznał! — zawołała panna Gleason.

— Dopóki komuś wina jego nie zostanie udowodniona, nie można nikogo uważać za winnego — panno Gleason — wtrącił Dik.

— Ależ w takim razie, gdzież jest właściwy sprawca, jeśli on nim nie jest?

— A włamywacz!? — podrzuciła bardzo szybko Peggy.

— Niemożliwe, kochana panno Macallister. Dlaczegożby taki człowiek miał się posługiwać szpilką od kapelusza, a nie swoim rewolwerem?

Peggy nie mogła przez chwilę znaleźć odpowiedzi. Sama także w głębi duszy powiedziała sobie to samo. Na pomoc pospieszył jej hrabia Morny.

— Przypuszczam, że madame Trevor sama się ukłuć szpilką — oświadczył. — Przecież doktor sam stwierdził, że samobójstwo być możliwe, jeśliby pchnięcie zadane zostało lewą ręka.

— Skąd pan wie, że pani Trevor była mańkutem? — rozległ się donośny głos panny Gleason.

— Nieraz razem z nią ja grać w karty — odpowiedział spokojnie Morny.

— Jaki powód mógł ją popchnąć do samobójstwa? — zapytał Dik z wielkiem niedowierzaniem.

Francuz wzruszył ramionami.

— A dlaczego miałby ją zabić pan Gordon?

— To pan ma racyę — wmieszał się do rozmowy kapitan Mr. Lane. — Dlaczego miałby to zrobić? Służyłem razem z nim na jednym okręcie i uważam wprost za wykluczone, aby Donald Gordon był zdolny do czegoś podobnego. Był on zawsze najmilszym i najlepszym chłopcem pod słońcem.

Hrabia Smirnow, który dotychczas w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, wmieszał się także, pociągnięty ogólnem zainteresowaniem.

— Twoja teorya ma wiele słuszności, Henry — zauważył spokojnie. — Jaki powód mógłby skłonić młodą, piękną, zdrową i szczęśliwą kobietę, aby popełniła samobójstwo?

— U dam, to nigdy nic nie można wiedzieć — odpowiedział Morny. - Być one zwykle bardzo nerwowe i z drobnostek robić wielkie rzeczy.

— Umarły nie może się jednak sam zamknąć do kasy — bronił swych poglądów Dik.

— A czy nie mogła ona się najpierw zamknąć, a potem dopiero zabić? — informował się Serb.

Dik potrząsnął głową.

— Clark, który pierwszy odkrył trupa, powiada, że ona była siłą wciśnięta w głąb kasy.

— Przecież to tylko jego zeznaniem jest stwierdzone.

Serb wypowiedział te słowa z takim dziwnym naciskiem, że Dik uderzony tem wpatrzył się w jego twarz. Spokojna jednak mina i zimne spojrzenie nie pozwalały nic przeniknąć.

— Jakżeż się powodzi temu kochanemu panu Clarkowi? — zapytała w tej chwili panna Gleason słodziutkim głosem. Bardzo elegancki młody człowiek. Brak go w towarzystwie, od udziału w którem wstrzymuje go żałoba.

— Żałoba? — zdziwiła się głośno Peggy. — Czy mu kto z krewnych umarł?

— Ależ nie! Nie bywa obecnie nigdzie, ponieważ jest zaręczony z panną Trevor!

— Co takiego? — Peggy w ogromnem wzburzeniu omal nie wywróciła czajnika z gorącą wodą. — Panno Gleason, pani się stanowczo myli. Beatrycza nigdy nie była z panem Clarkiem zaręczona.

— Nie? Tak zrozumiałam, kiedy pani Trevor coś mi o tem wspomniała. Zresztą wydało mi się to zupełnie naturalne. On przecież całkiem otwarcie stara się o nią, a i oboje dosyć często razem się ukazują.

— Jeśli mowa o zaręczynach, to przypomina mi się Bertie Lee — przerwał rozmowę Mr. Lane. — Wrócił właśnie z podróży poślubnej i przyszedł kiedyś do klubu z rozpaczliwą wprost miną.

— A tak — potwierdził Dik, śmiejąc się. — Mimowoli przypomina mi się na jego widok nowy kuplet uliczny:

W młodości byłem dzielny chłopak,
Dumnie się rozbijałem!
Lecz szczęście poszło mi na opak,
Za uszy sam mu dałem.

Dlaczego, ach! dlaczego tak
Wszystko mi poszło wspak.

Rzucił powłoczyste spojrzenie na Peggy, która jednak udawała bardzo zajętą rozmową z Mornym. Dik urwał wiersz i zaklął po cichu.

— Pani zna zapewne państwa Brownów — zwróciła się w tej chwili panna Gleason do pani Macallister. — Jak słyszałam, grozi tam proces rozwodowy. Ale to bardzo długa historya. — Wstała. — Muszę już spieszyć dalej. Do widzenia! droga pani Macallister i dziękuję serdecznie za piękne popołudnie, mile spędzone.

Powoli pożegnali się prawie wszyscy goście, a w kwadrans potem Peggy i Dik znaleźli się sami w salonie.

— Tak, mój panie, teraz opowiadaj pan obszernie, co pan robił i do czego pan doszedł! — rozpoczęła Peggy bardzo surowo. — Od czasu owego balu ani razu nie pokazał się pan w pobliżu mojej osoby, a ja...

Urwała, rumieniąc się gwałtownie. Dik pożerał ją formalnie oczami, gdyż w swej szafirowej sukni wyglądała czarująco. To też biedak ledwo umiał wyjąkać.

— Peggy... jedyna... słodka Peggy, niech... pani...

— O czem to tak rozprawiacie? — zapytała w tej chwili pani Macallister, wchodząc do pokoju.

— Ja... ona... te... ach o niczem ważnem — wyrzucił prawie bez tchu Dik. Dreszcze świętego strachu przed poważną matroną przebiegły mu po grzbiecie. O sobie miał tak liche wyobrażenie, że był prawie pewny, iż pani Macallister sprzeciwi się wszelkim staraniom o rękę Peggy z jego strony.

— Chciałem właśnie zapytać Peggy o Beatryczę i Clarka. Czy jest coś prawdy na całej historyi o ich zaręczynach?

— Ależ Diku, przepraszam cię, przecież to jest...

— Pani nie chce zdradzić zaufania swej przyjaciółki, Peggy; zupełnie sobie z tego zdaję sprawę. Jednak byłoby lepiej, gdybym znał całą historyę dokładnie.

Peggy namyślała się przez chwilę, poczem zaczęła mówić, ale z wielkiem wahaniem:

— Może istotnie lepiej będzie, jeśli panu, panie Diku, wszystko szczerze opowiem. Właściwie to nawet nie popełnię zdrady zaufania. Przyłapałam mianowicie Clarka w czasie ostatniego wielkiego przyjęcia u Trevorów, jak oświadczał się ze swą miłością Beatryczy. Szukałam jej właśnie, aby się z nią pożegnać, i znalazłam ją w pracowni ojca. Beatrycza była widocznie bardzo zadowolona z mojego niespodziewanego zjawienia się, natomiast Clark był wściekły. Cieszyłam się wtedy bardzo z figla, jakiego mu spłatałam, gdyż, nie wiem dlaczego, ale bardzo tego człowieka nie lubię.

— Czy pani przypuszcza, że panna Trevor przychylnie przyjmuje oświadczyny Clarka?

— Beatrycza jest bardzo skryta — odpowiedziała zwolna Peggy. — Nie mówiłaby nigdy o swych wielbicielach — nawet ze mną. Gdyby pan był się mnie przed czterema tygodniami spytał, czy jest co prawdy na tej całej historyi, powiedziałabym stanowczo, że nie. W ostatnich czasach jednak zauważyłam, że Beatrycza może nie tyle ośmiela go, ile raczej pozwala mu częściej przebywać w swojem towarzystwie.

— Pani przypuszcza więc...?

— Ja nie wiem sama, co mogę o tem sądzić — przerwała mu niecierpliwie.



— Ależ w takim razie gdzież jest prawdziwy morderca?

— Czy przyjęcie, o którem pani mówi, odbyło się w przeddzień mordu?

— Tak, to był ten pamiętny raut.

— Czy Gordon był na tej zabawie?

— Ależ tak! Prowadził mnie nawet do kolacyi i był bardzo szczęśliwy i zadowolony, jak nigdy przedtem.

— Peggy, najwyższy czas, abyś zabrała się do zrobienia toalety na wieczór u Pattersonów — przypomniała w tej chwili pani Macallister.

— Idź pan już, panie Diku. Czy może pan w przyszłą środę być u nas na obiedzie? O godzinie dziewiątej?

Dik przyjął zaproszenie tak skwapliwie, że oczy starej damy rozbłysły złośliwie.

— Jestem Morny'emu bardzo wdzięczna, że wprowadził do nas tego hrabiego Smirnowa — dodała jeszcze, kiedy Peggy wyszła z pokoju.

— Podoba mi się bardzo, a oprócz tego mamy wielu wspólnych znajomych.

— Jak długo on tu zabawi? — zapytał Dik.

— Do powrotu księcia Y... do Nowego Yorku. Do widzenia Diku! A przyjdź znowu niedługo.

ROZDZIAŁ XIII.

Groźba.

Tego samego popołudnia siedziała Beatrycza samotnie w bibliotece. Na kolanach leżał otwarty list, w który z zapamiętaniem się wpatrywała. Nagle chwyciła go w palce i podarła na drobne kawałeczki, które wrzuciła w ogień na kominku. Głośno rzuciła wzburzona:

— Jak on śmie?! Jakiem czołem?!

— Proszę pani, panno Beatryczo, detektyw Hardy telefonował, że chciałby z panią pomówić, czy może dzisiaj po południu złożyć pani wizytę? — zameldował Wilkins, który po cichu wsunął się do pokoju.

— Nie, dzisiaj nie! Odpowiedz mu, że jestem chora i chcę się wcześnie położyć, mój Wilkinsie. Jutro w południe może mnie odwiedzić, ale dzisiaj już nikogo nie chcę widzieć.

Zaledwie Wilkins opuścił pokój, rozległ się donośnie głos dzwonka, a zaraz potem wybuchł w przedpokoju gwałtowny spór.

— Pewnie znowu jaki sprawozdawca — pomyślała Beatrycza, kładąc się z westchnieniem na kanapce. W tej chwili otwarły się gwałtownie drzwi, a do pokoju wtoczyła się energicznie żona ministra wojny. Za plecyma jej ukazało się zaczerwienione i wzburzone oblicze Wilkinsa.

— Oto jestem — rozległ się donośny bas pani ministrowej. — Pani służący powiedział mi wprawdzie, że pani nie ma w domu, ale ja przecież dobrze wiedziałam, że on kłamie. Musiałam koniecznie nareszcie panią zobaczyć, droga Beatryczo.

— Z czego ja się bardzo cieszę, droga pani Curtis — odpowiedziała serdecznie Beatrycza, pomagając przybyłej wydobyć się z miliona okryć.

— Joe mówił mi, że pani nie zechce ze mną się zobaczyć — zaczęła pani Curtis, skoro tylko zdołała się usadowić w wygodnym fotelu, zmuszając do chwilowego spoczynku swój ciężar dwu cetnarów. — Zapowiedział mi, abym, broń Boże! nie mówiła z panią o pani troskach. Odpowiedziałam mu jednak: muszę się z nią widzieć i zobaczę ją choćbym miała popełnić morderstwo — na Boga!

Podniecenie jej było takie śmieszne, że Beatrycza mimo swego smutku zaczęła się śmiać. Zasadniczo ceniła bardzo tę może trochę za otwartą, ale zato bardzo wierną, starą przyjaciółkę. Wiedziała, że ona zawsze i w każdej okoliczności stanie po jej stronie, choćby cały świat miał się przeciwko niej zwrócić.

— Tylko nie herbatę! — zawołała pani Curtis, wywijając rękoma z przerażeniem, kiedy Beatrycza zwróbiła się do czekającego Wilkinsa. — Na Boga! Nienawidzę jej. Znacznie lepiej zrobi mi szklanka Sherry i kilka biszkoptów.

Życzenie jej zostało natychmiast spełnione, Beatrycza nalała jej Sherry, oraz podała cały talerz ciastek.

— Jak się miewa mąż pani, pan minister? — spytała.

— O, wogóle dobrze, trochę tylko dokucza mu reumatyzm. Ale pani ojciec źle bardzo wygląda? Spotkałam go dzisiaj na ulicy. Opowiadają, że ma podobno zamiar podać się do dymisyi, czy to prawda?

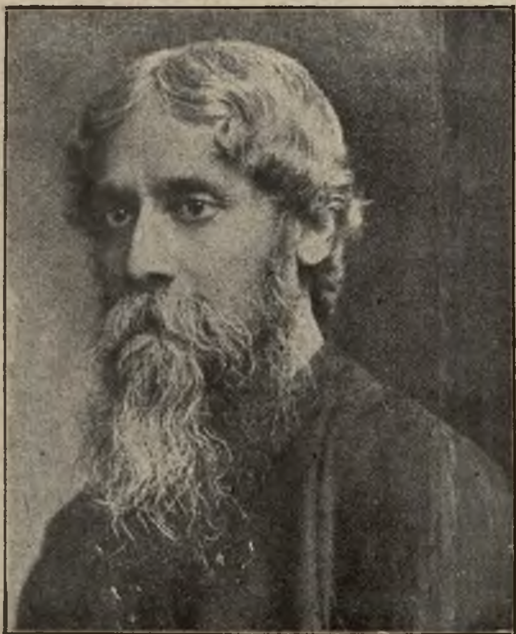
— Bezwarunkowo nie! — odpowiedziała żywo młoda dziewczyna. — Bardzo możliwe, że wyjedziemy na jakie osiem dni do Atlantic City, ale poza tem ojciec do czerwca będzie tu przebywał i sprawował swe obowiązki. Nie rozumiem, jak takie pogłoski mogą powstawać!

— Eh! Waszyngton od dawna jest cieplarnią do pędzenia wszelkiego rodzaju plotek — zawołała pani Curtis. — Czego ludzie na pewno nie wiedzą, to sobie wymyślą. Ale dosyć o tem. Nie przyszłam tu, aby bawić się wyszukiwaniem słabości moich bliźnich. Chciałam ciebie, kochana Beatryczo, zobaczyć i zapytać się, czy nie wybrałabyś się czasem ze mną automobilem na spacer, skoro tylko można nim będzie po ulicach jeździć. Pani bardzo źle wygląda i potrzebuje koniecznie świeżego powietrza.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nagroda Nobla dla Hindusa.

Swiat naukowy i literacki został zaskoczony niespodzianką. Akademia szwedzka w Sztokholmie, któ-



Nagroda Nobla dla Hindusa: Rabindranatt Tagore, poeta hinduski, odznaczony tegoroczną nagrodą Nobla.

rej przysługuje prawo rozdawania nagród z fundacyi Nobla, sięgnęła w tym roku daleko poza granice Europy i jako laureata literatury ogłosiła zupełnie nieznanego w świecie literackim europejskim poetę hinduskiego Rabindranatta Tagorę. W Indyach jest on od dawna czczony i podziwiany, jako niezrównany twórca i esteta. Wiersze jego i poematy są popularne w najszerszych sferach hinduskich.

Europa poznała go dopiero po raz pierwszy, kiedy w Anglii niedawno ukazał się przekład jego poezyi p. t. „Wschód słońca“ (Gitaujali). Rabindranatt Tagore urodził się w Bengalii w r. 1861, liczy więc dzisiaj 52 lat życia.

Taki wynik konkursu literackiego Nobla był niespodzianką zwłaszcza dla Niemców, którzy spodziewali się, że nagrodę otrzyma ich rodak Rosegger, twórca funduszu antypolskiego.

W dzisiejszym numerze podajemy podobiznę sławnego Hindusa.



Szermierka w Sokole: Nowy zarząd Oddziału szermierzy Sokoła Macierzy we Lwowie, z prezesem p. Stablem w pośrodku. (Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Napad bandycki w Oświęcimiu.

Przed kilku dniami opinia publiczna została poruszona nowym, niezwykłym w Galicyi faktem bandytyzmu. Nie przebrzmiały jeszcze echa morderstwa rabunkowego w Krakowie w księgarni Gebethnera, a w Oświęcimiu pada znowu nowa ofiara pod obuchem siekiery. Morderstwa dokonano tuż koło dworca kolejowego w filii ekspedycyjnego biura Mendelsohna, a ofiarą padł wekslarz Izrael Siegmann.

W dniu morderstwa przyjechał on z Krakowa, mając większą sumę pieniędzy przy sobie. W chwili, gdy wysiadał z wagonu, przystąpił do niego jakiś człowiek, który wezwał go, aby udał się do biura ekspedycyjnego, gdyż kierownik tegoż ma do niego pilny interes. Siegmann poszedł. W pół godziny potem przybył do biura urzędnik, p. Karkoszka, a wszedłszy do wnętrza znalazł na podłodze nieprzytomnego Siegmanna, pławiącego się w krwi.

Zaalarmowana policya rozpoczęła energiczne śledztwo. Jako podejrzanego o współudział w zbrodni aresztowano woźnego biurowego, Jana Burka. Nie umie on wykazać swojego alibi z tego wieczora. Burek, 28-letni mężczyzna, żonaty, jest z zawodu górnikiem. Tłómaczy się bardzo niejasno, powołując na stwierdzenie swego alibi osoby, których nie można wyszukać.

Sprowadzony z Krakowa pies policyjny „Aida“ czterokrotnie wskazał na niego, jako na sprawcę zbrodni. Siegmanna, ciężko poranionego i nieprzytomnego, przewieziono do szpitala krakowskiego.



Z niwy społeczno-oświatowej: Bursa Towarzystwa Szkoły Ludowej w Sanoku. (Fot. Serdyński, Sanok).

Od Wydawnictwa.

Zachęcani powodzeniem wydanych przez nas poprzednio **specyalnych dodatków handlowo-przemysłowych**, postanowiliśmy obecnie w okresie ruchu **przedświątecznego** wydać **specyalny numer**, który poświęcony naszemu handlowi i przemysłowi, stanie się dla najszerszej publiczności **illustrowanym przewodnikiem do gwiazdkowych zakupów...** Ponieważ numer ten ukaże się **w połowie grudnia**, w interesie P. T. kupców i przemysłowców leży, aby możliwie najwcześniej materyał do tego numeru nadsyłali.

Kronika tygodniowa.

Wspomniałem w ubiegłym tygodniu o politycznych polowaniach, które coraz bardziej wchodzą w modę i stały się niemniej popularne, jak osławiony amerykański taniec tango, który po prostu zawrócił głowę i europejskiej płci nadobnej, choć, powiedzmy prawdę, nie jest wcale ani estetycznym, ani zbyt moralnym.

Na razie w Krakowie zapowiadają go ogłoszenia różnych szkół choreograficznych, produkcye publiczne odbywają się zaś w jednej pono kawiarni, do której jednak nie uczęszczam ze względu na swą magnifikę. Gdyby dowiedziała się, że tam byłem, miałbym krzyż Pański, bodaj czy nie przez cały miesiąc, nie mogę jej bowiem w żaden sposób wytłumaczyć, że kronikarzowi powinno być wolno wszędzie chodzić, by mógł wszystko widzieć na własne oczy, aby mu los figla jakiegoś nie spłatał.

Bo i tak się dzieje!

Pewien kronikarz, lat temu prawie już dwadzieścia, otrzymawszy w niedzielę popołudniu urlop od swej władzy domowej, wybrał się na odczyt profesora Ziembickiego do Amfiteatru Nowodworskiego... Ale, że to nikt nie może z góry powiedzieć, że dojdzie tam, dokąd zamierzał pierwotnie, tak samo stało się i z nim. Odczyt naznaczony był na czwartą, on jeszcze o piątej nie zdążył opuścić gościnnych murów jakiegoś lokalu, bodaj, czy nie oazy „pod Palmą".

Wróciwszy do domu, spisał naturalnie podniosłe wrażenia, jakich doznał na odczycie, nie miał słów na pochwałę znanego zresztą w Krakowie prelegenta i zaraz rano zamieścił w kronice notatkę.

Ale cóż się pokazało? Dyablik drukarski... nie, źle się wyraziłem, to nie był dyablik, ale ordynarne dyablisko!... spłatał mu figla. Z innego pisma popołudniu dowiedział się, że zapowiedziany na niedzielę odczyt nie mógł się odbyć z powodu niedyspozycyi prelegenta...

Otóż, aby i mnie coś podobnego nie spotkało, piszę tylko o tem, com sam widział na własne oczy, lub o czem doniosły różne poważne organy krajowe i zagraniczne. Jeśli wszystkie zgadzają się na jedno, wówczas mogę już i ja głos zabrać.

I dlatego to, jako pierwszy punkt porządku dziennego, obrałem sobie sprawę dyplomatycznych polowań. Niechaj jednak kto przypadkiem nie sądzi, że brałem w nich udział osobisty, zwierzynę dwunożną i czworonożną lubię, ale tylko na talerzu. Tyle jednak wypisano o tych polowaniach, że i ja poświęciłem im baczniejszą uwagę, zwłaszcza, że widoczne są już nawet polityczne ich następstwa.

Naczelnicy państw wymyślili tę nową formę układów dyplomatycznych. Od lat kilku spotykają się, jak ongiś ich pradziadowie, w odwiecznych kniejach, dokąd jeszcze nie doszła siekiera nowoczesnego spekulanta i zawierają tam rozmaite układy, umowy, zobowiązania w tajemnicy przed światem, a głównie przed odpowiedzialnymi wobec ludności czynnikami rządu.

Najczęściej odbywają się polowania austryacko-niemieckie.

Mieliśmy więc urządzone przez cesarza Wilhelma łowy w Gehrde, w których wziął udział arcyksiążę Franciszek Ferdynand. Ten znów zaprosił swego przyjaciela do majętności swej w Konopiszt na polowanie i pogawędkę.

Bezpośrednio potem rozjaśniła się mina hr. Berchtolda, oświadczył też publicznie, że Austrya może zawsze liczyć na sojuszniczą wierność Niemiec.

Zdziwili się słuchacze, gdyż przypomnieli sobie, że nie tak to dawno, jak Niemcy, w chwili bardzo poważnej, bez wahania opuściły Austrye, gdyż tego wymagała ich własna polityka, a w niej są egoistami.

Choć, co prawda, nie powinno to nikogo zbytnio dziwić, dawne Prusy, a dzisiejsze Niemcy, znane są z różnych politycznych koziołków. Na tem polu zdobyły sobie już mistrzowstwo światowe.

Z kolei nastąpiła wizyta arcyksięcia Franciszka Ferdynanda w Anglii i znowu polowanie, na któ.em widocznie ubito sprawę „Canadian Pacificu", gdyż rezultatem było ponowne otwarcie jego biur i wypuszczenie za kaucyą na wolną stopę dyrektora Altmanna.

Czy i jakie polowania są jeszcze projektowane, nie mogę sobie przypomnieć, w każdym razie stwierdzam z całą stanowczością, że władcy bałkańscy nie myślą o czemś podobnem. Tam możnaby polować jedynie na drobniejszego zwierza przy pomocy proszku perskiego lub Zacherlinu.

Dziwię się jednak, że im wogóle chce się myśleć o polowaniach, skoro nastały tak ciężkie czasy, iż nawet i koronowane głowy zaczynają się upominać o dodatki drożyźniane i podwyższenie pensyi.

Początek zrobił rząd bawarski, który wniósł w sejmie przedłożenie o podwyżce listy cywilnej dla „młodego" króla o cały milion. Dotąd pobierał tylko cztery i pół miliona, ale mu widocznie mało.

Bawarczycy przywiązani są bardzo do swego władcy, ale i oni narzekają na ciężkie czasy i boją się, by to się na ich kieszeniach nie odbiło, więc kto wie, czy żądaną podwyżkę zawotują.

Taką samą propozycyę postawił sejmowi i rząd saski, który domaga się podwyższenia apanaźów dla następcy tronu i jego brata.

Złośliwi dodają, że zdaje się nie ulegać wątpliwości, iż o podwyżkę płacy, albo bodaj o dodatek drożyźniany upomni się w niedługim czasie i cesarz Wilhelm, którego listę cywilną w ciągu ćwierćwiecza rządów „dopiero" cztery razy podwyższano.

Jeśli wspominam o tem, to tylko dlatego, aby pocieszyć tych biedaków, którzy nie noszą koron, ani na głowach, ani nawet w kieszeni... Źle dzieje się wszędzie, w zamkach i chatach....

Panowie posłowie mogą z mych wywodów skorzystać i skoro będzie mowa o podwyższeniu płac dla urzędników i służby państwowej, użyć ich, jako argumentów przekonujących. Także przy sposobności dyskusyi nad nowymi podatkami będzie można o tem napomknąć.

A właśnie dowiadujemy się o nowym prezencie podatkowym, jaki nam Wysoki c. k. Rząd przygotowuje. Zawiadomił o tem dla rozmaitości, nie minister skarbu, ale jego kolega od lokomotywy, który zaznaczył uprzejmie, iż jeśliby mu parlament ich nie uchwalił, musiałby zrzec się kolei lokalnych, o które tak się ubiega. Na razie wchodzą w grę tylko trzy: podatek spadkowy, podwyższenie opłat sądowych i administracyjnych i podatek zapałkowy.

Na razie parlament, to jest posłowie, mogą się nad tem głęboko zastanawiać, gdyż z powodu zwołania delegacyi posiedzenia Izby rzadko się odbywają, potem zaś, kto wie, czy panu Stürgkhowi nie uda się uruchomić sejm galicyjski.

Jak już poprzednio wspomniałem, nieszczęsna reforma wyborcza do sejmu tłucze się, jak Marek po piekle, jeździ sobie pociągami błyskawicznymi między Wiedniem i Lwowem, czasem nawet i do Krakowa wstępując, gdzie, jak wiadomo, przebywa od czasu do czasu pan prezes Koła Polskiego i gdzie ma siedzibę sztab jeneralny ludowców, radzący ciągle nad dobrem kraju.

Gdybyśmy tą energię, na jaką w tym czasie w gadaniu zdobyli się nasi wielcy i mali politycy, mogli sprowadzić do wspólnego mianownika, wystarczyłoby jej na wykopanie kanału Dunaj-Odra-Wisła, nawet z proponowaną odnogą lokalną Rudawa-Pełtew.

Wogóle obecną sytuacyę polityczną w kraju można określić dwoma słowami: ciągle niejasna.

Pisma wiedeńskie są zazwyczaj lepiej poinformowane o tem, co się tyczy Galicyi, z nich więc chciałem zaczerpnąć wiadomości o usposobieniu atamana Kostia Lewickiego, który konferuje na wszystkie strony. Ale i tam nic pewnego nie wiedzą, jak powiadają „wobec niejasnego stanowiska, jakie zajmuje klub ruski". Jedni utrzymują, że Rusini sprzeciwiają się zwołaniu sejmu galicyjskiego, żądając dla siebie nowych ustępstw w sprawie reformy i że będą robili trudności w parlamencie (zapewne muzykalno-wokalna obstrukcya), inni natomiast zapatrują się więcej różowo i uważają za pewne, iż już na wtorkowem (25 b. m.) posiedzeniu przyjdzie do głosowania nad podatkiem wódczanym. *Neue Freie Presse* w jednym artykule powiada, że zwołanie sejmu galicyjskiego nastąpi najpóźniej z początkiem przyszłego tygodnia, w telegramie zaś ze Lwowa stwierdza, że sytuacya raczej się pogorszyła, ponieważ zwiększyła się liczba punktów starcia.

To jedno ma być tylko pewnem, że Rusini ustępstwa, jakie poczynili podczas obrad komisyi dla reformy wyborczej, wybranej z łona poprzedniego sejmu, obecnie cofnęli.

I tak ciągle „w koło Macieju". Rozbij głowę o mur, a nie dowiesz się, czego chcą. Daj im, czego żądali, oni powiedzą: Dobrze! Ale to jeszcze mało! Dajcie więcej, bo inaczej na zwołanie sejmu się nie zgodzimy i rozpędzimy wam parlament.

A tu, jak na złość, zaczynają się mrozy, niech więc politycy mają także i to na względzie, że chyba przyjemniej jest siedzieć w ogrzanej sali parlamentarnej, niedaleko taniego i obfitego bufetu, niż marznąć gdzieś tam nad Dniestrem lub Prutem.

We Lwowie tymczasem przygotowują budżet na r. 1914. zamknięty naturalnie, jak zwykle, niedoborem, pomimo najróżnorodniejszych skreśleń i oszczędności. Wydział krajowy proponuje wobec tego wprowadzić w Galicyi nowy podatek po dwie korony od głowy każdego dziecka, uczęszczającego do szkoły krajowej. Czy półgłówki płaciliby tylko połowę, o tem projekt nie powiada.

Będzie to więc znowu nowy podatek od krajowej fabrykacyi oleju.

Odezwała się nareszcie i... pani de Thébes.

Rok 1914 będzie według jej wróżby rokiem promiennym w przeciwieństwie do 1912, który był czarnym i 1913, uznanego przez nią za lekko zaróżowiony. Ma to być rok pięknego gestu i wspaniałego heroizmu, w nim odrodzi się Europa i jej stan umysłowy... Czy jednak odróżni się ze względu na kieszeń od obu poprzedników, nie wspomina o tem.

Baje ezcigodna wieszczka wiele o modach, teatrze, uprowadzeniach, przepowiada nawet śmierć jednego z wybitnych artystów teatralnych.

Najważniejsze, iż rok ten będzie słoneczny i pogodny, a geniusz Francyi olśni cały świat w dziedzinie wynalazków.

Przyszłość natomiast innych narodów widzi ona w niezbyt różowych kolorach i zapewne z przyzwyczajenia przepowiada Niemcom zamieszki, wojny, a nawet ogólne powstanie.

Oni jednak niewiele, zdaje się, robią sobie z tego, gdyż już na rok 1913. naobiecywała im tyle okropności, a pokazało się, że zaszła pomyłka, gdyż Hohenzollernowie do dnia dzisiejszego zasiadają na tronie i ani myślą o abdykacyi.

Austrya również ma przeżyć silne wstrząśnienia (jakie, nie mówi). Przez cały rok będzie pożądliwie wyciągać ręce do Bałkanów, jeszcze pożądliwsi będą Węgrzy, czemu ja się znów nie dziwię, gdyż oni konsumują bardzo wiele papryki, a ta działa bardzo podniecająco.

Flegmatycznych Anglików czekają także niezbyt wesołe czasy. W kraju nastąpią zasadnicze zmiany w ustroju państwowym, w czasie których rozegrają się brutalne akty przemocy i gwałtu. Być może, że ma na myśli dalszy ciąg żywienia przemocą sufrażystek i dowody ich wdzięczności, jakie okazują za to na każdym kroku swym ministrem.

W Portugalii ma na nowo powstać monarchia, nie skończy się wojna bałkańska, a Unia amerykańska będzie miała także wiele kłopotów.

Jeśli zestawimy wszystkie te przepowiednie natchnionej wieszczki, musimy przyjść do przekonania, że w r. 1914 najszczęśliwszymi będą jej rodacy, kto więc chce używać, jak pączek w maśle, a wierzy jej słowom, niech jedzie na stały pobyt do Paryża. Tam może spokojnie czekać na spełnienie się jej przepowiedni.

Niechaj jednak ktoś nie weźmie tego przypadkiem za zachęcanie popisowych do emigracyi. Daleki jestem od tego, nie mam wcale ochoty dostać się pod skrzydła bogini sprawiedliwości, która w Krakowie lokuje swych pupilów w gościnnych murach byłego klasztoru św. Michała.

O ile miejsce pozwala (od wyroku pana metrampaża niema absolutnie apelacyi) chciałbym bodaj zaznaczyć, że zapowiada się gwałtowne zaćmienie gwiazdy Koburgów. (O tem przed rokiem pani de Thébes nic nie mówiła).

Z sali koncertowej.

Do licznego grona znakomitych wirtuozów-skrzypków polskich przybywa nowy artysta, Krakowianin,



Z sali koncertowej: Skrzypek Juliusz Richter.

p. Juliusz Richter, syn cenionego i znanego w naszem mieście muzyka. Młody artysta, po odbyciu początków muzyki pod kierunkiem ojca, studyował arkana sztuki wirtuozowskiej w konserwatoryum wiedeńskiem, w którem ukończył szkołę mistrzów pod kierunkiem prof. Szevczika, zwracając na popisie uwagę prasy wiedeńskiej pięknym tonem, świetnością techniki i wrodzonemi zaletami muzycznemi. Po świetnym popisie koncertował młody skrzypek w kilku miastach monarchii, zdobywając wszędzie żywe uznanie, świetnem wykonaniem utworów Wieniawskiego, Paganiniego, Vieuxtempsa oraz mistrzów z XVI. i XVII. stulecia. Prasa chwali zgodnie świetną technikę i świetny ton młodego artysty, którego niebawem usłyszymy w Krakowie na jego własnym koncercie, mającym się odbyć w sali Starego Teatru w dniu 27 b. m.

Będzie to niewątpliwie jedna z tych wybornych produkcyi, nad których dystyngowanem przygotowaniem czuwa p. Teofil Trzciński.

Szermierka w Sokole.

Szermierka, tak silnie związana z tradycyą naszej świetnej przeszłości militarnej, w dodatku jeden z najzdrowszych i najpiękniejszych sportów, liczy po dziś dzień jeszcze wielu zwolenników. Zasługa podtrzymywania sportu szermierczego przypada w udziale naszym stowarzyszeniom szermierczym. Jednem z najstarszych i najzasłużeńszych jest Oddział Szermierzy Sokoła Macierzy we Lwowie, który szczególnie w ostatnich kilku latach okazuje, jak na nasze stosunki, niezwykły rozwój i żywotność. Wielka ilość członków i uczniów, liczne turnieje i popisy publiczne są dobitnym tego dowodem. Po „Marcowej Akademii“, która była pierwszorzędnem zdarzeniem w naszem życiu szermierczem, zarząd Oddziału nie spoczął na laurach. Nowa uroczysta Akademia odbędzie się dnia 3 grudnia b. r. w salach Koła literacko-artystycznego we Lwowie i zapowiada się świetnie.

Rzecz jasna, że wszystko to jest owocem żmudnej pracy zarządu Oddziału. Wybory na ostatniem Walnem Zgromadzeniu przyniosły przedewszystkiem tę zmianę w składzie Zarządu, że wszedł doń jako przewodniczący znany szermierz, dr. Leonard Stahl, wiceprezydent miasta.

W dzisiejszym numerze podajemy fotografię nowego Zarządu.

Z niwy społeczno-oświatowej.

Od r. 1907 istnieje w Sanoku Bursa im. Kościuszki, założona i utrzymywana przez Koło T. S. L. Z powodu licznych zgłoszeń, nadesłanych przez biednych rodziców o przyjęcie ich dzieci, Wydział T. S. L. postanowił Bursę rozszerzyć. W tym celu wynajął nowy dom na „Wójtowstwie“, gdzie Bursa znalazła wygodne i hygieniczne pomieszczenie. W tych dniach właśnie odbyło się uroczyste poświęcenie nowego domu Bursy. Po akcie poświęcenia przemówił do licznie zebranych gości ks. dr. Drozd, podnosząc w gorących słowach doniosłą chwilę otwarcia nowego, większego przytułku dla młodzieży.

Po nim zabrał głos sekretarz Koła profesor Przyprawa, który w krótkich słowach omówił działalność



Napad bandycki w Oświęcimiu: Ofiara napadu Izrael Siegmann.

Koła, zachęcając młodych wychowanków, by pracą, posłuszeństwem, karnością, szanowaniem sprzętów i budynku, spłacili dług wdzięczności i wyrośli na dobrych obywateli kraju.

Illustracya nasza przedstawia zewnętrzny widok Bursy w nowej siedzibie.

Jubileusz dziennikarza.

Czterdziestolecie swej pracy literackiej obchodził w tych dniach w Warszawie znany dziennikarz,



Jubileusz dziennikarza: Grono Tow. pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy z jubilatem p. Karolem Hofmanem (X) w pośrodku.

współpracownik „Kuryera Warszawskiego“, p. Karol Hofman. Już na ławie szkolnej poczuwszy pociąg do pióra, rozpoczął pracę na niwie poezyi i wydał dwa zbiorki poetyckie: „Nieznany gość“ i „Pierwsze kroki“. Oddał się następnie z zamiłowaniem dziennikarstwu, ogłaszając swe prace w najrozmaitszych czasopismach.

Jubilat, jeszcze w pełni sił, pracuje również gorliwie i na niwie społecznej. Rozwija zwłaszcza energiczną działalność w Tow. pracowników handlowych i przemysłowych m. Warszawy. Grono członków tego ruchliwego Stowarzyszenia uczciło też jubilata bankietem. Uczestników tej uroczystości z jubilatem w pośrodku przedstawia nasza illustracya.

Z Polonii za oceanem.

(Do illustracyi na str. 10).

Ameryka powoli zaczyna wchłaniać w siebie tylu polskich emigrantów, że całe stany zamieniają się w polskie prowincye. W północnej Ameryce, w miastach Stanów Zjednoczonych, osadnictwo polskie liczy dziś już miliony głów. W południowej jest Polaków znacznie mniej, jednak i tam w niektórych okolicach stanowią poważne mniejszości. Jeden z naszych przyjaciół nadesłał nam kilka zdjęć z życia Polaków w stanie Rio Grande w Brazylii. Polaków w tym stanie jest już około 50 tysięcy. W mieście Porto Alegro kolonia polska liczy 3.000 osób. Kolonia ta posiada szereg polskich towarzystw, jak Tow. Orła Białego, Tow. im. Kościuszki i Dom immigracyjny.

Zwiększona immigracya do tego bogatego i klimatycznie bardzo dobrego kraju powiększa z roku na rok ilość polskich osadników.

W dzisiejszym numerze podajemy widoki domów polskich towarzystw w Porto Alegro.

Niespodziewani goście.

(Do illustracyi na str. 9).

Stanisławów miał w tych dniach bądź co bądź niecodzienną sensacyę. Mieszkańcy miasta i okolicy ujrzeli balon, który począł powoli się opuszczać i opadł w sąsiedniej wsi Wołoczyńcu. Z balonu wysiadło dwóch aeronautów, których naturalnie otoczyły tłumy ludności, zwabione zarówno ciekawością, jak i pogłoskami o „szpiegach“. Na miejsce pospieszyły również i władze z komisarzem starostwa p. Janickim na czele, przeprowadzone jednak śledztwo i rewizya stwierdziły zupełną niewinność aeronautów, którymi, jak się okazało, byli dwaj Francuzi, Emil Dubonnet i Welby Jourdan. Wybrali się oni w podróż z Paryża do Odessy dla osiągnięcia rekordu na odległość 2.400 kilometrów, lecz skutkiem zepsucia się balonu musieli przerwać swą podróż i wylądować pod Stanisławowem.

Aeronautów po stwierdzeniu ich osobistości puszczono naturalnie na wolność, a balon odesłano dalej pociągiem.

Illustracya nasza przedstawia balon francuski, leżący na ziemi we wsi Wołoczyńcu.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 46.

Trójkąt magiczny:

```
T o r r i c e l l i
O r g a n i s t a
R z o d k i e w
R o p u c h a
I m b r y k
C y t r a
E d y l
L i n
L a
I
```

Zadanie do przestawienia: Kto raz skłamał, temu drugi raz nikt nie uwierzy.

Łamigłówka kwadratowa:

```
F a s o l a
R o b e r t
E x p e n s
D y p l o m
R a c i n e
O l k u s z
```

Bilety wizytowe: Annalista. Arcybiskup. Agronom. Agraryusz. Kontradmirał.

Przysłowiówka: Lepszy mądry złodziej, niż głupi włodarz.

Szarada: Kawiarnia.

Zadanie do przestawienia: Kochajmy się jak bracia, rachujmy się, jak żydzi.

Rebus: Lekko zapracowane pieniądze lekko się wydaje i pożytku niema wcale z takiego grosza.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, K. Janik Drohobycz, M. Link Lwów, R. Czapuczyński Kijów, S. Krzyżanowski Kraków, M. Arbesbauer Lwów, K. Rosenbaum Rozwadów, E. Niestenberger Lwów, J. Wilczkiewicz Lwów, M. Rychlik Jasło, S. Sokołowski Kraków, Z. Dębiński Lwów, K. Stojanowski Stanisławów, M. Sikorska Stanisławów, R. Bukowski Kijów, J. Kaczkowski Drohobycz, A. Siatka Kraków, S. Karwowski Berlin, H. Tymińska Lwów, J. Piątek Podwołoczyska, J. Stanisławski Czerniowce, M. Kot Sambor, A. Kosiński Kolbuszowa, D. Engelberg Rzeszów, J. Lisowski Krosno, H. Topolnicki Kamieniec, S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Kolbuszowa, M. Więckowska Łódź, A. Pick Warszawa, K. Bandrowski Lwów, J. Kwaśniewski Przemyśl, K. Szumańska Grojec, F. Gebhardt Kraków, K. Galiński Sambor, J. Cisowski Warszawa, J. Sadowski Kraków, S. Rogowski Kołomyja, T. Biliński Tarnów, F. Blätterfeind Lwów, W. Ostrowski Łódź, J. Łopatkiewicz Jasło, J. Czarkowski Uhnów, J. Kozicki Stanisławów, L. Lang Kraków, T. Szumski Ryga, K. Armatys Lwów, J. Nowacki Lwów, H. Chmurowicz Częstochowa, J. Orzechowski Kalisz, K. Misińska Złoczów, J. Sliwiński Brzostek, D. Ligęza Tarnów, W. Kalinowska Kalisz, S. Rogaliński Warszawa, J. Trepka Radom, J. Raczyński Kołomyja, H. Górska Lwów, K. Stefański Lwów, M. Winter Tarnopol, M. Klappholz Rzeszów, D. Łopatyński Kraków, S. Jasiński Rzeszów, H. Maciejowska Winnica, T. Mazaraki Radom, B. Zbigniewicz Kraków, J. Broda Rzeszów, I. Brzostowski Krosno, J. Strojek Tarnopol, W. Świrski Piotrków, D. Dorożyński Odessa, C. Wang Tarnobrzeg, K. Sawliński Jasło, D. Sedyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Trojacki Wiedeń, J. Biechońska Stanisławów, S. Lindenbaum Czerniowce, S. Galiński Sandomierz, J. Lichański Warszawa, R. Radomski Czerniowce, H. Górska Lwów, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, M. Karpińska Lwów, J. Zachara Krosno, K. Król Kołomyja, J. Walter Podwołoczyska, T. Solecki Kraków, M. Wyka Rzeszów, R. Madejski Lwów, J. Antosz Kołomyja, J. Jahoda Cieszyn, A. Gralewski Kraków, W. Wojciechowski Czerniowce, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, B. Cegielski Poznań, J. Popiel Kijów, M. Rieger Brody, H. Dębicki Lwów, M. Gawrońska Mińsk, L. Krokowska Częstochowa, F. Zając Bochnia, K. Kinalski Tarnów, S. Bernatowicz Rzeszów, M. Klimek Cieszyn, S. Wiewiórowski Warszawa, S. Lipski Wiedeń, H. Czyżewska Warszawa, F. Knopf Jarosław, A. Balicki Stanisławów, H. Wysoczański Petersburg, J. Krawecki Przemyśl, H. Scholz Rozdół, A. Dużak Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **W. Wojciechowski Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Nadchodzi czas, w którym każdy jakiegoś djabełka kupi. Niechże Publiczność przy tej okazyi pamięta, że lepiej w tym wypadku swoich wesprzeć



aniżeli wedle starej tradycyi za granicę wysłać. Nadmieniamy n. p. lalki, główna zabawka dzieci, za dużo tysięcy przychodzi do nas z zagranicy. A kto nie zna nasze lalki z ulicy Wolskiej? Chyba komentować ich nie potrzeba. — Nawet Niemcy zachwycają się niemi. Jakże nas to cieszyć musi, wiedząc, że firmy światowe jak Lafayette w Paryżu i Titz w Antwerpii zaprowadziły w ostatnich czasach lalki w krakowskich, góralskich i polskich strojach z naszej krakowskiej fabryki lalek z ul. Wolskiej.

Słyszałem nieraz mniemanie, że wyrób krajowy jest drogi i kiepski. To fałsz. Towar przychodzący cło podraża najmniej o $^1/_3$ na wartości. Aby temu podołać, fabryki zagraniczne skąpią na materyale i doskonałości. To też szerszym sferom znane, że dostajemy liche towary za drogie pieniądz. Nie wystarczy samo żądanie, aby wyroby były swoje. Zadaniem Publiczności powinno być powstałą instytucyę podtrzymać, aby się rozwinąć mogła.

Illustracya nasza uwidacznia doskonale wesele krakowskie z państwem młodym w środku, do okoła starościne i goście weselni.

Ze świata kobiecego.

Przed zimą.

Jesień piękna ma się już ku końcowi. Dni są coraz krótsze i coraz zimniejsze, to też lada dzień spodziewać się należy, że biały puch pokryje całunem ziemię, a my zaczniemy otulać się coraz cieplejszemi ubraniami.

Moda pomyślała już o nowych fasonach i sezonie i przynosi nam wybór rzeczy ciepłych bardzo obfity. Przyznać trzeba jednak, że nowoczesna moda ma jedną wielką zaletę, która dodatnio oddziaływa na twórczość jej... ma fantazyę. Nieposkromiony, niezależny rozmach, dążenie do coraz nowych form, ale takich, któreby coraz mniej krępowały figurę i ruchy.

Swobodne Angielki i Paryżanki, hołdujące modnemu tańcowi „tango“, przyjętemu nawet w najelegantszych domach, uznały, że nie tylko szyja lub ramię pięknej kobiety może być odsłonięte, to samo można zastosować także do nóżek. Ładna, zgrabna



Płaszcz wieczorowy z fantastyczną ozdobą z falbanek i riusz.



Płaszcz zimowy z modnej materyi w paski.

noga nie koniecznie musi tkwić w pończoszce i pantofelku. Arystokratki francuskie i angielskie odrzuciły więc pończoszki, a tańczą „tango“ boso, używając jedynie ozdobnych sandałów. Dla nas jest to rzecz zbyt „postępowa“ i dlatego u nas nie znalazłaby się pani, która ośmieliłaby wystąpić na zabawie boso. A jednak?!

Moda wszechwładna pani, zna tylko estetykę i piękno i tem kieruje się w doborze fasonów i wzorów. Nawet zastosowanie krynolin w interpretacyi dzisiejszych reguł mody nie wypadło ujemnie. Zgrabne, odstające tiuniki gazowe lub tiulowe, utrzymane sztywno, tak jak krynoliny naszych prababek, są same w sobie czemś bardzo zgrabnem i nie ujmującem bynajmniej sukni lekkości i powiewności.

Przed zimą kilka uwag poświęcam sprawie kostyumów. Są one modne i chętnie noszone, jako ubranie wygodne i popularne.

W dziedzinie angielskich kostyumów poły żakietów zastępują modne tiuniki i tem bardziej dają takie złudzenie, że przeważnie ujęte są w pasie paskiem. Najczęściej jest to zwykły pasek skórzany; wogóle skóra odgrywa w obecnym sezonie znaczną rolę i używana jest na wyłogi i wypustki białe, czerwone lub bronzowe, przy kostyumach robionych z *covercoat*, *crokserev* i *whipcord*. Nawet do obszycia spodnic od dołu zamiast szczotki używa się wypustek skórzanych.

Spodnice należące do *genre tailleur* są trochę szersze, nie powinny jednak, o ile mają się stosować do wymogów mody w obwodzie na dole przenosić 1 m. 50 cm. Najpiękniejsze kostyumy angielskie znane są pod nazwą „*Norfolk*“ i mają długie, sięgające aż do kolan żakiety z odstembnowanymi rękawami bez rewersów. Są one zrobione zupełnie na sposób męzkich paltotów, przeważnie w jasnych kolorach.

Poza tem panują kolory *beige*, szary, *mastic*. Kołnierz i wyłogi są robione w jaskrawych kolorach, albo też z materyi w deseń, jak n. p. z *pied de poule*, gdzie piękne karo tworzy trzy do sześciu barw albo *velours glaiè Sandra*, gdzie karo mieni się w kolorze *changeant*. W dziedzinie materyi wełnianych pojawiła się olbrzymia serya materyi w drobne karo bronzowe z zielonem, lub niebieskie z żółtem, do



Płaszcz automobilowy z wypustkami skórzanymi.



Kostyum angielski z kamizelką w kratę i aksamitnym kołnierzem.

których zawsze dobrany jest odpowiedni materyał gładki na żakiet.

Pół długie żakiety są przeważnie z przodu u dołu pół okrągłe. Spotyka się także żakiety z krótkim stanem, przypominające styl *empire*. Nie są one jednak w pasie przecinane, ale tylko pasek markuje wcięcie stanu, wobec czego może on być dowolnie przedłużany lub skracany.

Mimo, iż żakiety przeważnie są wolne, jednak są dosyć przylegające i zapinają się na jeden rząd guzików. Powoli jednak powracamy do mody zapięć dwurzędnych. Guziki robione są bądź z masy perłowej, bądź z metalu lub szlifowanego kryształu, zdobnego barwną inkrustacyą. Także noszone są guziki sukienne, które obramione są szyldkretem lub rogiem.

W skromnym zakresie stosowane są do żakietów ozdoby z pasmanteryi i *soutache*.

Żakiety w dziedzinie ulsterów i raglanów robi się z materyi w wielkie karo lub paski. Panują tu barwy bronzowy, szary i zielony. Pasek u tych żakietów jest tylko z tyłu w formie dragona.

W.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

4

A jednakże nie pomylił się! Ktoś w bliskości wybuchnął płaczem, lecz prędko płacz ten stłumić zdołał. Działo się to, po tamtej stronie muru, gdzie stali przejęci śmiertelnym niepokojem: Jan le Kerlack, Stanisław i Fernanda.

Niepokój ten zamienił się w rozpaczliwą pewność, gdy wspiąwszy się ostrożnie na mur, ujrzeli biednego pana Morela, fantastycznie malującego w powietrzu kaplicę Sykstyńską, na rozkaz papieża Juliusza II. Fernanda uległa pierwszemu wrażeniu i rozpłakała się głośno, a Stanisław chciał odważnie skoczyć i uwolnić swojego starego przyjaciela. Na szczęście Jan le Kerlack był z nimi. I on ujrzawszy brata, niewidzianego lat tyle, nie mógł się oprzeć silnemu wzruszeniu, lecz opanował się natychmiast i rozkazującym ruchem ręki powstrzymał Stanisława, mówiąc stłumionym głosem:

— Spokojnie, dzieci! porachujemy się z tymi łajdakami później! Nie palnijmy głupstwa, bo dotąd doskonale nam idzie!

— — — — — — — — — — — — — — —

Poszukiwania nie były, ani długie, ani utrudnione. Dwa dni przedtem automobil przywiózł ich do Chevreuse, gdzie zatrzymali się w zajeździe, oznajmiając, iż nazajutrz o wczesnej godzinie udają się na wycieczkę, by sfotografować okolicę. Pozostawili szofera w spokoju, nakazując mu mieć na wszelki przypadek maszynę nasmarowaną i rezerwoary napełnione.

Upewniwszy się mimochodem, w której stronie znajduje się dom zdrowia – udali się w przeciwnym kierunku i za pierwszym napotkanym lasem okrążyli drogę z powrotem i z łatwością odnaleźli więzienie biednego pana Morela. W tej chwili od godziny ukryci w zaroślach, otaczających park, gotowali się do ostatecznego uwolnienia nieszczęśliwego człowieka. Całą sprawą z nadzwyczajną ostrożnością i zimną krwią, kierował Jan le Kerlack.

— Mój dobry przyjacielu — pytał wzruszony Stanisław — powiedz nam, jakim sposobem doszedłeś do odkrycia tej niezwykłej tajemnicy i to w tak krótkim czasie?

— Ty to nazywasz krótkim czasem, mój chłopcze, kiedy zmarnowaliśmy kilka tygodni na poszukiwaniach? A zresztą stało się to za sprawą przypadku — dodał swobodnym głosem, unikając wzroku młodego człowieka — tak, przypadku, który jest siłą policyi, no i Fernandy, która zdołała pochwycić przy telefonowaniu kilka bardzo ważnych dla nas słów. Oto wszystko! Mówiono o jakimś waryacie, zamkniętym w zakładzie Chevreuse i którego szalona mania polegała na wcielaniu się w postacie najznakomitszych artystów-malarzy. Kierowana intuicyą Fernanda zwierzyła mi się z podejrzeń swoich, że ten szaleniec to może jej ojciec. Możesz to sobie wytłomaczyć przeczuciem, siłą magnetyczną, czem chcesz. Ojciec twój, który jest wielkim uczonym, wytłomaczyłby nam ten fenomem z łatwością. My jesteśmy przeciętne umysły. Wiemy, że mój biedny brat tu się znajduje, a potem badać będziemy, w jaki sposób tu się dostał. Ale jeżeli to możliwe, nie pozostawimy go tutaj, ani jednego dnia dłużej...

— — — — — — — — — — — — — —

W tej to właśnie chwili, dozorcy przechadzający się w alei pod murem rozmową swoją dostatecznie objaśnili Kerlacka i Fernandę o rodzaju szaleństwa, dręczącego pana Morela, wykazując całą brutalność, z jaką się z nim obchodzono w zakładzie. Do jakiego stopnia teraz ten biedny umysł został wstrząśnięty? I czy długo wytrzymałby jeszcze, bez zmiany warunków? Przeszukawszy aleje, dozorcy oddalili się; przedtem jeszcze przeszli, koło altany, upewnić się, czy chory pracuje przy fantastycznym swoim obrazie, poczem złączyli się z towarzyszami.

Jan le Kerlack wdrapał się wtedy na mur i zauważył, że pomiędzy altaną, w której znajdował się jego brat, a dozorcami, wznosiła się gęsta grupa drzew, przez którą nic widzieć nie mogli. A więc można było działać!

— Ty, moje dziecko — rozkazał Stanisławowi — natychmiast udasz się do zajazdu, zbadasz czy maszyna gotowa do drogi i sprowadzisz ją na drugą stronę tego lasku, gdzie widzę doskonały zakręt. Postaraj się, aby to nie trwało dłużej nad dziesięć minut... Ty, Fernando, pozostaniesz ze mną, ale proszę cię, zechciej na razie łzy swoje schować do kieszeni i starannie je nakryć chusteczką, postaraj się przytem o wesoły wyraz twarzy. Stanisław zabierał się już do odejścia, lecz przystanął, by uczynić jeszcze uwagę.

— Czy nie dobrzeby było uwiadomić policyę, skoro dotarliśmy do prawdy? Mogę zatelefonować, podać nazwisko i mówić w imieniu ojca! Dwaj ajenci, którzy już poszukiwali pana Morela, przybędą natychmiast!

— I policya zapyta naturalnie, kto jest ten pan, tak uderzająco podobny do więzionego. Nie pomyślałeś o tem, mój mały. I dowiedzą się dość prędko, że nie jestem ani Janem le Kerlackiem, ani Piotrem Lebonnier, lecz poprostu Piotrem Moreau i że mam jeszcze do odrobienia dziesięć lat ciężkich robót. Dziękuję za to! Sami sobie tutaj wystarczymy. Brat mój przedwczoraj, w mojej osobie, bardzo podobnej do niego, przedstawił się w pałacu księcia Kiwani i wiadomem już musi być ogólnie, że powrócił do domu. Do domu więc go sprowadzimy.

— O ile pozwoli na to biedny jego umysł — zauważył Stanisław.

— Oto uwaga rozsądniejsza! Ale — zawołał po chwili zastanowienia Jan le Kerlack. — Wspaniała myśl rodzi się w mojej twardej głowie. I przy waszej pomocy...

Wyjął notatnik z kieszeni, ten najzwyklejszy swój notatnik, w którym zapisywał zamówienia na dostawę tranu rybiego i w słowach bez zarzutu zredagował od siebie lekarskie orzeczenie choroby umysłowej pana Morela, malarza z Samois, potrzebę zatrzymania go w domu zdrowia, aż do dalszego rozporządzenia.

— Z tym świstkiem — rzekł — po uwolnieniu brata, udacie się do Epinay, gdzie znajdziecie zakład, temu podobny, przy drodze od placu Trójcy do Enghien. Zaręczam, że pomiędzy Fernandą a tobą biedak zachowywać się będzie zupełnie spokojnie. Przejazd zresztą potrwa zaledwie godzinę, a ja za wami wkrótce podążę!

— Pan? — zawołał wylękniony Stanisław — więc pan myśli tu pozostać?

— To, mój mały, zależeć będzie od okoliczności... Przewiduję wszystko i wolę zawczasu przedsięwziąć środki ostrożności. Naturalnie wolałbym jechać zaraz z wami i towarzyszyć bratu, ale może trzeba będzie tu pozostać choćby dla dogadania się z dozorcami w razie potrzeby. No, ale dalej, wynoś się stąd chłopcze, bo zabierasz mi drogocenne minuty!

Kerlack miał słuszność. Już od chwili waryat zauważył, że jest śledzony z tamtej strony muru. Szybkim ruchem odłożył swoją imaginacyjną paletę i pendzle... pochylił się... patrzał i łzy wielkie zaszkliły się w jego oczach...

— Fernando! — szepnął.

— Mój ojcze!

— Nie jestem twoim ojcem — rzekł z nagłym błyskiem nieświadomości w oczach. — Ty jesteś córką pana Morela, a dowodem tego, że stoi on właśnie przy tobie. Ja jestem Michał Anioł!

Jan le Kerlack przechylił się przez mur i pomimo zwykłego, umiejętnego panowania nad sobą i żelaznej wprost energii, umiał użyć wielkiego napięcia woli, by odpowiedzieć spokojnie nieszczęśliwemu bratu.

— Ależ, oczywiście jesteś Michałem Aniołem, skoro malujesz kaplicę Sykstyńską. Ale jednakowoż jesteś panem Morelem, bo jesteś dwoma osobami w jednem ciele. W tobie jest nawet więcej osobistości... jesteś Van Dyckiem... Rubensem...

Twarz waryata rozpogodziła się, jakby nareszcie znalazł rozwiązanie na dręczącą go długo wątpliwość.

— Ah! widzisz, mówię im to ciągle, ale oni mi wierzyć nie chcą! Jestem Aniołem Michałem, to prawda i równocześnie jestem panem Morel, bo oto właśnie stoję naprzeciwko siebie! Ale się też zadziwią! Zawołamy ich — dobrze?

— Niech cię Bóg broni! — zawołał z przestrachem Jan le Kerlack. — Byliby w stanie zamknąć nas razem, bo to się podobać nie będzie! A ja właśnie, widzisz, poznałem... to jest ty poznałeś, bo ty, to ja, pewnego amatora, który ma olbrzymią galeryę obrazów. Będziesz tam miał robotę aż do sądu ostatecznego!

— Sąd ostateczny! Wspaniała rzecz, mój kochany! Popatrz się tylko!

Ręką waryat wskazywał na altanę, gdzie już wyobrażał sobie Boga na wielkim sądzie.

— To jest rzeczywiście wspaniałe — przytakiwał le Kerlack — ale to już wykończyłeś?

— Trochę jeszcze poprawek! A zobaczysz, jak mnie papież zanudzać będzie, gdy tu się zjawi.

— Właśnie, trzeba stąd odejść, zanim przyjdzie.

Mówiąc to Jan le Kerlack wskoczył przez mur do parku. W pierwszej chwili chciał porwać brata w ramiona i przycisnąć go do piersi, ale zapanował nad wzruszeniem i na pozór spokojnie przyglądał się sufitowi altany.

— Wszystko już wykończone — oznajmił. — Chodź teraz ze mną!

— Ale tamci? — zapytał biedny pan Morel, drżąc na całem ciele. — Żebyś ty wiedział, jakie mi oni tusze dają i biją, kiedy nie jestem grzeczny!

— Bo zazdrośni są o twój geniusz — o nasz geniusz! Chodźże prędzej!

Pociągnął go dość łatwo ku murowi.

— Ja cię podniosę, a tam Fernanda rękę ci poda! No, dalej! Jazda!

Przeprawa udała się łatwo, bo choć chory nie posiadał żadnej siły, siły Kerlacka wzmogły się w dwójnasób, a Fernanda okazała iście męzką energię — wobec grożącego im co chwila niebezpieczeństwa.

— Jednak to dziwne — szepnął waryat. — Przechodzę przez mur i znajduję się na dole. A śmią

utrzymywać, że nie jestem nadzwyczajnym człowiekiem.

Nagle nastąpiła w nim przemiana, wyraz twarzy złagodniał, a spojrzenie jego jasne i przytomne spoczęło na Fernandzie.

— Ależ narobią krzyku, gdy mnie tutaj nie znajdą! — rzekł, ucieszony figlem.

— Doskonale się nimi zabawimy — odparł Jan le Kerlack — ty sobie pójdziesz i mądrzy będą, jeżeli spostrzegą zamianę!

W tej chwili dobiegło uciekających warczenie automobilu i prawie natychmiast Stanisław ukazał się pod laskiem.

— Stanisław! moje drogie, kochane dziecko — szepnął pan Morel wzruszony, a wielkie łzy stoczyły się mu po twarzy.

— A to co znowu! — zawołał Jan le Kerlack. — Czy to pora na rozczulanie się.

— Jakiś ty dobry, Stanisławie, że przybyłeś po mnie z Fernandą, ale dlaczego z Fernandą — zastanowił się chwilę. — Dlaczego nie z Lusią? Bo on przecież z Lusią jest ożeniony!

— Bo Lusia za delikatna do takich wycieczek! Oczekuje cię w domu wraz twoją żoną.

— Ah! tak! — zawołał uradowany Morel. — Trzeba przyznać, żeście wszystko doskonale urządzili! Ale powiedzcie mi, dlaczego ja tu byłem? zamiast być w domu, gdzie mam tyle pracy?

— Pracowałeś nad kaplicą — nie wiesz?

— A prawda! Ale właściwie...

Pan Morel uderzył się ręką po czole, które widocznie nie zatraciło wszystkich władz umysłowych, bo rzekł zaraz z namysłem:

— Skoro ty tu zostajesz, musisz dla zupełnego przeobrażenia się we mnie włożyć moje ubranie! To jest ubranie Michała Anioła!

— Doskonała myśl! — zawołał Jan le Kerlack, który zupełnie zapomniał o tym szczególe. — A więc dalej, prędko! Twoje ubranie!

Zerwał spiesznie płaszcz, podczas gdy Fernanda pomagała ojcu do zdjęcia wierzchniego ubrania. We dwie minuty byli gotowi.

— Czy pan naprawdę nie jedzie z nami? — zapytał cicho Stanisław.

— Uciekajcie jaknajprędzej wszyscy troje, tak jak już postanowiłem — odpowiedział Kerlack. — Ja tu zostanę, aby zamaskować ucieczkę i pomówić trochę z tymi zuchami. Oh! słyszę już ich głosy! Niema czasu do stracenia!

Rzeczywiście, krzyki donośne rozlegały się po tamtej stronie muru.

— Uciekajcie! uciekajcie! — nalegał Kerlack.

I podczas gdy Fernanda i Stanisław uprowadzali śmiejącego się z zadowoleniem Morela, Kerlack przeskoczył mur i szedł wymachując rękami naprzeciw nadbiegających dozorców... Nagle przystanął i jednym susem znalazł się na drzewie.

— A co? nie mówiłem ci — rozpoczął dozorca. — Można to zawierzyć kiedy waryatowi. W chwili, gdy wydaje się najspokojniejszy, może nadejść najokropniejszy atak furyi!

Atak na biednego szaleńca przychodził rzeczywiście z piorunującą szybkością.

— Precz nędznicy! — wołał tubalnym głosem. — Niech się żaden z was nie śmie mnie dotknąć! — Czy nie widzicie piorunu, który trzymam w ręce, powierzonego mi przez ojca wiekuistego? Jeżeli się zbliżycie do mnie, ogień piekielny spali was!... i strącę was na samo dno piekieł!

Drugi dozorca uspokajał towarzysza.

— Nie jest on znowu taki niebezpieczny. Mógł dobrze skoczyć na mur i uciec, a on na nas czeka spokojnie. Jan Kerlack uśmiechając się łagodnie przyzywał ich teraz ręką.

— Czeka spokojnie! patrz jaką twarz ma rozgorączkowaną. A taki blady był, gdyśmy go tutaj zostawili... obaczysz czy prędko doprowadzimy go do porządku. A pilnuj swoich pleców!

Jednakże powoli podchodzili do drzewa, na którem siedział Jan le Kerlack, z oznakami najwyższej uprzejmości.

— Może jego wysokość raczy po plecach naszych zejść ze swojego rusztowania — rzekł jeden z nich.

Waryat namyślił się i przyłożył palec do ust.

— A nie powiecie nic papieżowi? — zapytał. — Nie powiecie mu, że poszedłem trochę rozerwać się do świątyni Jupitera? Chciałem zobaczyć poczciwą jego twarz, by lepiej wymalować Ojca Wiekuistego, a choć nie wyznaję tej samej religii, przysiągłbym, że są kuzynami.

Dozorcy wybuchnęli śmiechem: waryat ich był dziwnie pocieszny w tej chwili. Ale i straszny zarazem, bo zaledwie podsunęli mu plecy, aby po nich spuścił się na ziemię, grad wściekłych uderzeń nogami posypał się na ich głowy. Gdy ledwie żywi powstali z ziemi, waryat oznajmił mi grzecznie, że teraz gotów jest im towarzyszyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Bilety wizytowe.
Ułożył Zdzisław Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter, umieszczonych na biletach, ułożyć nazwę kraju, który podane osoby zamieszkują.

IRA LEG
ANNA E. TRYG
PIOTR A. GULA
EWA U. LEZEN
ANNA ST. FIGA

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
E... Widzimy drozda rudego żaka.

Szarada.
Ułożył Antek K., Nowy Sącz.

Pierwsze-trzecie kota dziecię,
W środku syn Noego.
Rzecz nie nowa, to dwa słowa
Dla zakochanego!

Przeplatanka.
Ułożył W. M., Złoczów.

Podane litery tak uporządkować, by powstały trzy imiona męskie, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a d
d e e f f i i
i k k
k k k k k k l
l l m
m n n o ó s s
s t t

Łamigłówka.
Ułożył Sz. Kiliński, Kraków.

Do jakiego zawodu trzeba dodać sport zimowy, aby otrzymać autora utworu p. t. „Wędrówki studenta".

Trójkąt magiczny.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą początkową literę imienia i nazwisko polskiego poety.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — — —
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Doświadczenie na żywem zwierzęciu. 3 Nauka o uprawie roli. 4. Przyrząd optyczny. 5. Naczynia. 6. Osad winny. 7. Inaczej wrażenie. 8. Drzewo. 9. Przyrząd sportowy. 10. Przyimek. 11. Samogłoska.

Logogryf.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, utworzą imię i nazwisko popularnego pisarza polskiego z XVI. wieku

— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —
— — □ — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zwój waty dla tamowania krwi. 2. Oznaka radości. 3. Tajemnica. 4. Przyrząd tkacki. 5. Jarzyna. 6. Kwiat. 7. Inaczej przymierze. 8. Postać mitologiczna (pół kobiety, pół ryby). 9. Termin geograficzny. 10. Inaczej kołczan.

REBUS.



Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *W. Przyborowskiego: **Mgławica**.*

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipiuska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.